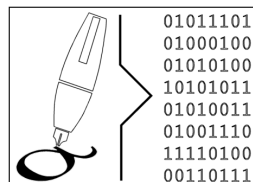


PHILIP K. DICK

PASZCZA WIELORYBA

Tłumaczył Mirosław Kościuk



Tytuł oryginału:

The Unteleported Man

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1964 r.

I

Ponad głową Rachmaela ben Applebauma unosił się wierzycielski balon, z którego głośników grzmiał bezbarwny, choć przyjemny, niewątpliwie sztuczny, męski głos, wzmocniony do tego stopnia, że słyszał go nie tylko Rachmael, ale także każdy z tłoczącej się na ruchomym chodniku ciżby. Było to zamierzone działanie, dzięki któremu ścigany wyróżniał się z tłumu i był wystawiony na publiczne pośmiewisko. Niewybredne docinki wszechobecnej gawiedzi stawały się dodatkowym czynnikiem oddziałującym na dłużnika i to — jak szybko uświadomił sobie Rachmael — bez żadnych wysiłków ze strony wierzyciela.

— Panie Applebaum! — Serdeczny głos o bogatym, nieznacznie tylko zabarwionym mechanicznym szelestem tembrze, przetoczył się górą, powracając echem odbitym od fasad okolicznych budynków. Tysiące ludzkich głów z zaciekawieniem popatrzyły dokoła, spostrzegły wierzycielski balon, a wkrótce potem ustaliły jego cel: Rachmaela ben Applebauma, który właśnie opuszczał parking, gdzie zostawił swój skrzydłowiec, z zamiarem udania się do biura KANT-u oddalonego o niecałe dwa tysiące jardów. Wystarczyło to jednak, by balon wpadł na jego trop.

— Okay — warknął Rachmael, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Szybko zbliżał się do podświetlonego fluoronem wejścia do agencji prywatnej policji i starał się udawać, że zupełnie ignoruje widok, do którego w ciągu ostatnich trzech lat zdążył się już przyzwyczaić.

— Panie Applebaum — nie dawał za wygraną balon. — Na dzień dzisiejszy, to jest środę ósmego listopada 2014 roku, jako spadkobierca swego świętej pamięci ojca, jest pan winien sumę czterech milionów poscredów na rzecz firmy Szlaki Hoffmana — Spółka Akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością, głównego udziałowca w interesie pańskiego zmarłego ojca.

— Okay! — powiedział gwałtownie Rachmael, przystając i spoglądając w górę z wyrazem bezsilnej udręki; ogarnęło go przemożne pragnienie, aby przekłuć balon, strącić go na ziemię, a na koniec podeptać pozostałe szczątki. Musiał jednak poprzestać na marzeniach. W myśl bowiem ONZ-owskiego zarządzenia, wierzyciel miał prawo posłużyć się takim środkiem nacisku w sposób jak najbardziej legalny.

Szczerzący zęby w bezmyślnym uśmiechu tłum wiedział o tym równie dobrze i z góry cieszył się na krótkie, lecz niezmiernie zabawne widowisko. Rachmael nie czuł urazy do otaczających go ludzi. W końcu to nie była ich wina. Od wielu lat wpajano im przecież podobne zachowanie. Wszystkie info i edu media, kontrolowane przez „bezinteresowne” ONZ-owskie biura spraw publicznych, propagowały właśnie taki model zachowania współczesnego człowieka: zdolność

znajdowania radości w cierpieniu kogoś, kogo się nawet nie znało.

— Nie mogę zapłacić — powiedział Rachmael — a wy dobrze o tym wiecie.

Słowa te z pewnością dotarły do balonu, który był wyposażony w niezwykle czułe receptory mowy, lecz nie odniosły żadnego skutku. Maszyna albo mu nie wierzyła, albo zupełnie jej nie obchodziło, czy to co powiedział, jest prawdą. Zadaniem balonu było bowiem ściganie ofiary, a nie dochodzenie prawdy. Wędrując ruchomym chodnikiem, Rachmael odezwał się ponownie głosem, któremu starał się nadać jak najbardziej przekonujące brzmienie.

— Naprawdę nie mam pieniędzy. Spłaciłem kolejno tylu wierzycieli Applebaum Enterprise, ilu tylko mogłem.

Z góry odpowiedział mu sarkastyczny głos mechanizmu.

— Wyrównując rachunki i zaciągając nowe długi?

— Dajcie mi trochę czasu.

— Jakież plany, panie Applebaum? — Głos aż skręcał się z pogardy.

— Tak — odpowiedział po chwili, nie dodając na razie nic więcej; dużo zależało od tego, co uzyska od KANT-u. I czy w ogóle coś uzyska. W trakcie ostatniej rozmowy wideo miał wrażenie, że szef KANT-u, Matson Glazer-Holliday, odnosi się do niego z życzliwością, ale czy na tak kruchej podstawie nie wyciągnął zbyt pochopnych wniosków?

Wszystko wyjaśni się w ciągu paru najbliższych minut, w bezpośredniej rozmowie z reprezentantem tutejszej placówki. Wkrótce będzie już wiedział, czy prywatna agencja wywiadowcza, która przede wszystkim musi troszczyć się o swoje interesy, konkurować z ONZ i pomniejszymi tytanami systemu dziewięciu planet, gotowa jest poprzeć człowieka, który nie dość, że był splukany, to miał jeszcze na głowie zdruzgotane imperium przemysłowe wraz ze wszystkimi długami, jakie poprzedni właściciel i dyrektor naczelny, Maury Applebaum, zostawił mu, rozstając się, niewątpliwie dobrowolnie, z tym światem.

Niewątpliwie. Mocne słowo, dobrze pasujące do spraw tak ostatecznych jak śmierć. Ruchomy chodnik, zupełnie nie zważając na szalejący w górze balon, sunął w stronę mieniącego się różnymi kolorami wejścia, a w duszy Rachmaela narastał niepokój przemieszany z odrobiną nadziei na uzyskanie pomocy.

Prawdę mówiąc, nigdy nie zdołał pojąć, w jaki sposób jego ojciec, do którego zresztą był bardzo podobny pod względem emocjonalnym, mógł zabić się laserem z powodu najzwyklejszego pod słońcem krachu ekonomicznego. Choćby nawet, jak pokazały późniejsze wypadki, krach ten stał się ostatnim gwoździem do trumny Applebaum Enterprise.

— Musi pan zapłacić — wiszący w górze balon zawył opętańczo. — Szlaki Hoffmana nalegają; Sąd ONZ odrzucił pańskie podanie z prośbą o ogłoszenie bankructwa, uznając, że w świetle prawa jest pan, Rachmaelu ben Applebaum, winien sumę...

Głos urwał się nagle, gdy tylko Rachmael przekroczył próg biura prywatnej międzyplanetarnej policji, a dźwiękoszczelne drzwi odcięły go od ulicy.

— Słucham pana. — Przyjazny głos robota-kamerdynera pozbawiony był wszelkiej drwiny, co stanowiło niezwykle kontrast z panującym na zewnątrz cyrkiem.

— Chcę się widzieć z panną Holm — mówiąc te słowa, Rachmael czuł drżenie głosu. Więc jednak balon spełnił swoje zadanie, zdenerwował go tak, że teraz trzęsie się i poci.

— Synkawy? — Głos lokaja oderwał go od kontemplacji stanu systemu nerwowego. — A może woli pan herbatę z sokiem marsjańskiego fnika?

Wyciągając oryginalne cygaro firmy Garcia Vega z Tampa na Florydzie, mruknął: — Dziękuję, na razie tylko sobie posiedzę. — Zapalił cygaro i pogрузzył się w oczekiwaniu na pannę Freyę Holm, przysięgając sobie w duchu, że powitają serdecznie bez względu na to, jak będzie wyglądała.

Nagle rozległ się miękki, nieśmiały głos: — Pan ben Applebaum? Jestem Freya Holm. Zechce pan przejść do mego gabinetu. — Stała w otwartych drzwiach, z ręką na klamce, i jak szybko ocenił, była doskonała. Poderwał się na nogi, rozgniatając w popielniczce cygaro z Tampa. Miała najwyżej dwadzieścia lat, długie, chitynowo-czarne włosy opadające luźno na ramiona i olśniewająco białe zęby, jakich mogłaby jej pozazdrościć niejedna gwiazda wideo. Przyglądał się tej niewysokiej dziewczynie w przejrzystym, złotym staniku, szortach i sandałach, przyozdobionej samotną kamelią nad lewym uchem, a w głowie kłębiła mu się tylko jedna myśl: I to ma być moje wsparcie?

Oszołomiony wyminął ją i znalazł się w niewielkim, nowocześnie urządzonej biurze. Szybkim spojrzeniem ogarnął półki wypełnione zabytkami wymarłych cywilizacji sześciu planet.

— Panno Holm — zaczął z wahaniem, a po chwili podjął pewniejszym głosem — nie wiem, czy przełożeni zapoznali panią ze złożonością mej sytuacji. Znalazłem się pod niezwykle silną presją. Można wręcz powiedzieć, że wpadłem w największe na skalę całego Układu Słonecznego długi. Szlaki Hoffmana..

— Szlaki Hoffmana — powiedziała panna Holm, siadając za biurkiem i włączając magnetofon — są właścicielem opracowanego przez doktora Seppa von Einema wynalazku do teleportacji, a tym samym monopolistą w tej dziedzinie. Praca von Einema sprawiła, że hiperliniowce i frachtowce Applebaum Enterprise stały się przestarzałe. — Mówiąc, zaglądała do leżących przed nią notatek. — Wie pan, chciałabym odróżnić w swoich zapisach pana od pańskiego nieżyjącego ojca, Maury'ego Applebauma. Czy mogę więc zwracać się do pana po imieniu?

— T-tak — odparł dotknięty jej chłodem i niezachwianą pewnością siebie. Niepokoiły go również leżące na biurku papiery. Nie ulegało wątpliwości, że na

długo przedtem, nim skontaktował się z Konsorcjum Aktywnego Nasłuchu Transkontynentalnego, czyli skrótowo zjednoczeniem KANT, którą to nazwą z lubością operowała ONZ — prywatna policja za pośrednictwem swych niezliczonych banków danych zgromadziła komplet informacji o nim oraz o krachu wywołanym pojawieniem się nowej techniki podróży, przez co wspaniałe statki Applebaum Enterprise w jednej chwili musiały przejść do lamusa.

— Pański świętej pamięci ojciec — ciągnęła Freya Holm — najprawdopodobniej sam zdecydował się na śmierć. Oficjalny raport ONZ traktuje to jako... samobójstwo. Co do nas... — przerwała, by poszukać czegoś w zapiskach. — Hmm.

— Dla mnie to mało przekonujące dowody, ale muszę pogodzić się z wyrokami losu — powiedział Rachmael. Tak czy inaczej, nic nie mogło mu zwrócić wiecznie zapracowanego, niedowidzącego staruszka o czerwonej twarzy. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście było to *Selbstmord*, jak tego chciał niemieckojęzyczny raport ONZ, czy też nie.

— Panno Holm — zaczął, lecz przerwała mu łagodnym ruchem dłoni.

— Rachmaelu, elektroniczna teleportacja doktora Seppa von Einema opracowana w kilku kosmicznych laboratoriach Szlaków Hoffmana przyczyniła się do wywołania chaosu wśród firm przewoźniczych. Prezes Zarządu Szlaków, Theodor Ferry, musiał o tym wiedzieć, gdy decydował się na finansowanie badań von Einema w jego pracowni w Schweinfort, gdzie w końcu doszło do wynalezienia Telporu. A przecież Szlaki Hoffmana, obok firmy pańskiego ojca, były największym udziałowcem upadłego Applebaum Enterprise. Wynika z tego, że Szlaki celowo doprowadziły do ruiny przedsiębiorstwo, w które zainwestowały poważne środki... Postępowanie takie wydaje nam się co najmniej dziwne. A teraz — popatrzyła na niego z uwagą, odrzucając przy tym do tyłu kaskadę czarnych włosów — prześladują pana żądaniami zwrotu kosztów z tytułu poniesionych strat, zgadza się?

Rachmael potaknął bez słowa.

Zapanowało milczenie, które przerwało kolejne pytanie panny Holm. — Jak długo pasażerski liniowiec pańskiego ojca musiałby podróżować na Paszczę Wieloryba z ładunkiem, powiedzmy, pięciuset kolonistów plus ich dobytek?

Po denerwująco długim namyśle odpowiedział: — Nigdy dotychczas tego nie próbowaliśmy. Całe lata. Nawet przy hiperszybkości. — Dziewczyna po drugiej stronie biurka nadal czekała, chciała usłyszeć coś bardziej konkretnego. — Naszemu flagowcowi — powiedział w końcu — zajęłoby to osiemnaście lat.

— A za pomocą urządzenia von Einema?

— Piętnaście minut — rzucił ochryple.

Paszczę Wieloryba, dziewiąta planeta Układu Fomalhauta, była dotychczas jedyną planetą spośród wszystkich odkrytych przez załogowe bądź automatyczne obserwatoria, która naprawdę nadawała się do zamieszkania — prawdziwa druga

Ziemia. Osiemnaście lat... tu nie pomoże nawet anabioza. Po tak długim czasie, nawet przy wyłączonej świadomości, choć znacznie spowolnione, procesy starzenia dojdą do głosu i uczynią przedsięwzięcie nierealnym. Alfa i Proxima, to wszystko na co ich było stać, gdyż leżały dostatecznie blisko. Ale Fomalhaut ze swoimi dwudziestoma czterema latami świetlnymi...

— Byliśmy bez szans — powiedział. — Po prostu nie mogliśmy transportować kolonistów na tak duże odległości.

— Czy spróbowalibyście, gdyby von Einem nie wynalazł teleportacji?

— Mój ojciec...

Skinęła głową. — Wiem. Rozważał taką ewentualność. Ale zginął i potem było już za późno, a teraz sprzedał pan wszystkie statki, chcąc pospłacać długi. A co do naszej agencji, to chciałby pan...?

— Został mi jeszcze — Rachmael podjął bezzwłocznie — nasz najnowszy, największy a zarazem najszybszy statek... „Omphalos”. Nie sprzedałem go, mimo przeróżnych nacisków, jakie Szlaki Hoffmana wywierały na mnie zarówno w sądach ONZ, jak i poza salą rozpraw. — Zawahał się przez moment, po czym ciągnął dalej: — Chcę dotrzeć na Paszczę Wieloryba i to nie poprzez teleportację von Einema, ale swoim własnym statkiem. Chcę wyruszyć w samotną, osiemnastoletnią podróż do Fomalhauta. A gdy już tam dotrę, udowodnię...

— Tak? — wtrąciła Freya. — Co udowodnisz, Rachmaelu?

— Że mogliśmy tego dokonać. Gdyby nie zjawił się von Einem z tą swoją maszyną, która... — Machnął ręką w bezsilnej wściekłości.

— Wynalazek doktora von Einema jest jednym z najważniejszych momentów w historii ludzkości. Teleportacja z jednego systemu gwiazdnego do drugiego, dwadzieścia cztery lata świetlne w piętnaście minut. Gdy ty na „Omphalosisie” osiągniesz Paszczę Wieloryba, ja na przykład będę miała — obliczyła szybko w pamięci — czterdzieści trzy lata.

Rachmael milczał.

— Co zamierzasz osiągnąć dzięki tej wyprawie?

— Nie wiem — odpowiedział zgodnie z prawdą.

Freya ponownie zajrzała do swoich notatek. — Od sześciu miesięcy „Omphalos” przetrzymywany jest na ukrytym — nawet przed nami — lądowisku na Księżycu. Wszystko wskazuje na to, że w tej chwili statek jest gotów do lotu międzygwiazdnego. Przez cały ten czas Szlaki Hoffmana usiłowały uzyskać wyrok potwierdzający ich

prawo własności do „Omphalosa”. Jak dotąd udało ci się temu zapobiec. Jednak teraz...

— Moi adwokaci mówią, że w ciągu trzech dni statek dostanie się w ręce Szlaków.

— Nie mógłbyś wystartować w tym czasie?

— Wszystko zależy od sprzętu anabiotycznego. Potrzebuję tygodnia na jego przygotowanie. Poza tym — westchnął ciężko — pewne składniki substancji odżywczej są wytwarzane przez zakłady podległe Szlakom i ich produkcja została ostatnio wstrzymana.

Freya skinęła głową. — Rozumiem, że twoje przyście tutaj jest równoznaczne z prośbą o to, by „Omphalos” z naszym doświadczonym pilotem na pokładzie pojawił się w chwili, gdy będziesz gotowy do lotu ku Fomalhautowi. Zgadza się?

— Tak jest — powiedział, a w jego głosie zabrzmiała nuta wyczekiwania. — Nie mogę go stracić. Udało im się mnie znaleźć, ale gdyby wasz najlepszy człowiek... — Błądził wzrokiem gdzieś ponad jej głowę; statek znaczył dla niego zbyt wiele.

— Oczywiście jesteście w stanie uścić nasz rachunek w wysokości...

— Niestety nie. W tej chwili nie posiadam żadnych środków. Później, gdy podejmę odsetki od kapitału przedsięwzięcia, prawdopodobnie będę mógł...

— Mam tu — Freya nie dała mu skończyć — kserokopię pisma mojego szefa, pana Glazera-Hollidaya. Uważa on, że jesteście niewypłacalni. Zaleca nam...

— Przez chwilę czytała w milczeniu. — No cóż, mamy z tobą współpracować pomimo twojej sytuacji finansowej. — Przypatrując mu się uważnie, ciągnęła dalej: — Wyślemy doświadczonego pilota, który zabierze „Omphalosa” w miejsce, gdzie nie dotrą agenci Szlaków ani nawet pracujące dla Sekretarza Generalnego, Herr Horsta Bertolda, służby specjalne ONZ. Nasz człowiek sobie z tym poradzi, a w tym czasie ty, jeśli oczywiście zdołasz, zgromadzisz brakujące komponenty wyposażenia anabiotycznego. — Uśmiechnęła się lekko. — Prawdę mówiąc, wątpię, czy sobie z tym poradzisz, Rachmaelu; mam tu dodatkowe wskazówki w tej sprawie. Theodoric Ferry jest dyrektorem interesujących nas zakładów. Posiadany przez nich monopol jest jak najbardziej legalny i — jej uśmiech przybrał odcień goryczy — usankcjonowany przez ONZ.

Rachmael milczał. Cała ta sprawa wyglądała beznadziejnie; bez względu na to, jak długo superdoświadczony pilot KANT-u prowadzić będzie „Omphalosa” po zagubionej między planetami trajektorii. Brakujące składniki okażą się „nieosiągalne”, jak zapewne będą głościć odsyłane pocztą zwrotną zamówienia.

— Myślę — powiedziała po chwili Freya — że twój problem to coś więcej niż zabiegi o otrzymanie niezbędnych chemikaliów. To ostatecznie da się załatwić. Są różne sposoby... Możemy na przykład, choć będzie cię to drogo kosztować, kupić co trzeba na czarnym rynku. Twój problem, Rachmaelu, to...

— Wiem — wpadł w tok jej wywodu. Nie było problemem dotarcie do Układu Fomalhauta i odszukanie jego dziewiątej planety, jedynej jak dotąd rozwijającej się pomyślnie kolonii Ziemi. W sumie nawet osiemnastoletnia podróż nie nastęrczała większych trudności.

Jego problemem było...

Dlaczego chciał lecieć, skoro urządzenia doktora von Einema zainstalowane

we wszystkich ziemskich placówkach Szlaków Hoffmana oferowały za niewielką opłatą — na którą stać było nawet najskromniej żyjącą rodzinę — teleportację na Paszczę Wieloryba w ciągu zaledwie piętnastu minut?

Głośno powiedział: — Freya, proponowana przez Szlaki teleportacja to świetny sposób podróżowania. — Tak było w istocie. Już ponad czterdzieści milionów Ziemiaków skorzystało z jej dobrodziejstwa. A że było to dobrodziejstwo, można się przekonać, analizując sprawozdania audio i wideo. Wszystkie przekazy ukazywały rozświetlony słonecznym blaskiem świat, w którym nie istniało przeludnienie, świat porośły wysoką trawą, pełen dziwnych, lecz usposobionych przyjaźnie zwierząt, świat nowych, pięknych miast zbudowanych przez roboty dostarczone na koszt ONZ. — Ale. . .

— Ale — podjęła szybko Freya — tak się dziwnie składa, że ta podróż jest możliwa tylko w jedną stronę.

Przytaknął skinieniem głowy. — O to właśnie chodzi. Nikt nie zdołał stamtąd wrócić.

— Można to łatwo wytłumaczyć. Układ Słoneczny należy umieścić w określonym układzie współrzędnych czasoprzestrzennych. Wówczas, zgodnie z pierwszym twierdzeniem von Einsteina, rewersja gromady galaktyk spowoduje. . .

— Wśród tych czterdziestu milionów ludzi — wpadł jej w słowo — musi być przynajmniej paru, którzy chcą wrócić. A jednak telewizja i gazety przekonują nas, że wszyscy są wprost ekstatycznie szczęśliwi. Widziałas przecież nadawane na okrągło programy o życiu w kolonii. To wszystko jest. . .

— Zbyt doskonałe? — podsunęła mu Freya.

— Statystycznie rzecz biorąc, w tak licznej populacji muszą istnieć malkontenci. Dlaczego nigdy o nich nie słyszemy? Nie mamy też możliwości sprawdzenia wszystkiego na miejscu. Jeśli bowiem ktoś przeteleportuje się na Paszczę Wieloryba, to choćby nawet coś odkrył, musi już tam pozostać jak cała reszta kolonistów. W takiej sytuacji spotkanie malkontentów niczego nie zmienia — wszystko co może zrobić nowo przybyły, to się do nich przyłączyć.

Jakiś wewnętrzny głos mówił Rachmaelowi, że w ten sposób niewiele można osiągnąć. Przecież nawet ONZ wolała nie wtrącać się w sprawy kolonii; niezliczone ONZ-owskie agencje opieki społecznej, nowe biura z niezwykle licznym personelem wybudowane staraniem obecnego Sekretarza Generalnego, Horsta Bertolda, z Nowych Zjednoczonych Niemiec: największej siły politycznej współczesnej Europy — cała ta potęga zatrzymała się w pokorze u wrót Telporu. Neues Einiges Deutschland. . . NED. Znacznie potężniejsze niż podupadłe Cesarstwo Francji czy Zjednoczone Królestwo — wyblakłe cienie dawnej świetności.

Nowe Zjednoczone Niemcy — co udowodnił wybór na Sekretarza Generalnego ONZ niemieckiego przedstawiciela, Horsta Bertolda — znowu stały się „zwia-
stunem przyszłości”. . . tak przynajmniej uważali sami Niemcy.

— Innymi słowy — powiedziała Freya — poprowadziłbyś pusty liniowiec

do Układu Fomalhauta, spędzając osiemnaście lat w podróży. Ty — jedyny nie przeteleportowany przybysz spośród siedmiu miliardów obywateli Ziemi, przekonany, a może raczej pełen nadziei, że gdy wreszcie w roku 2032 wylądujesz na Paszczy Wieloryba, znajdziesz komplet pasażerów, jakieś pięćset nieszczęśliwych dusz, pragnących wyrwać się z tamtej planety. I gdy tak się stanie, będziesz mógł wrócić do swoich interesów... Von Einem przerzuca ludzi w piętnaście minut, a w osiemnaście lat później zjawiasz się ty i zabierasz ich z powrotem do Układu Słonecznego.

— Tak jest — przytaknął gwałtownie.

— Czyli następne osiemnaście lat — także dla nich — stracone na podróż ku Ziemi. Ciebie ta wyprawa kosztować będzie trzydzieści sześć lat. Na Ziemi zjawisz się najwcześniej — przymknęła na chwilę oczy — w roku 2050. Będę wówczas miała sześćdziesiąt cztery lata; Theodorica Ferry’ego, czy nawet Horsta Bertolda, od dawna nie będzie wśród żywych. W tym czasie Szlaki Hoffmana także mogą przestać istnieć, a sam doktor Sepp von Einem... no cóż, zastanówmy się: staruszek ma dzisiaj osiemdziesiątkę na karku. Na pewno nie doczeka chwili, gdy wylądujesz na Paszczy Wieloryba, nie mówiąc już o zakończeniu drugiego etapu wyprawy. Dlatego też jeśli chcesz to zrobić, aby napsuć mu krwi... .

— Czy to coś złego — rzekł Rachmel — że wierzę, po pierwsze w obecność pewnej grupy ludzi nieszczęśliwych z powodu przymusowego pobytu w kolonii... choć takie sygnały nigdy do nas nie dotarły, gdyż wszystkie środki masowego przekazu na Paszczy Wieloryba zostały zmonopolizowane przez Szlaki Hoffmana. A po drugie... .

— A po drugie — wtrąciła Freya — chcesz poświęcić osiemnaście lat życia dla ich ratowania. — Popatrzyła na niego z zawodowym zainteresowaniem. — Czy to idealizm? A może chcesz się zemścić na von Einemie za to, że jego Telpor skazał na porażkę liniowce i statki towarowe waszej rodziny, które z dnia na dzień stały się bezużyteczne w podróżach międzygwiazdnych? Mimo wszystko, jeśli uda ci się wystartować na „Omphalosie”, będzie to wielkie wydarzenie, prawdziwa bomba; będą się nim zachłystywać ziemskie gazety i telewizja; nawet ONZ nie zdoła umniejszyć znaczenia tej historii — pierwszy, samotny, załogowy statek do Fomalhauta, nie jakaś tam sonda automatyczna ze starych czasów. Tak, będziesz niczym wielka kapsuła czasowa. Wszyscy będziemy czekać najpierw na twoje lądowanie tam, a potem, w 2050, na szczęśliwy powrót.

— Kapsuła czasowa — powiedział — jak ta wystrzelona z Paszczy Wieloryba, która nigdy nie dotarła do Ziemi.

Wzruszyła ramionami. — Minęła Ziemię, dostała się w pole grawitacyjne Słońca i nie zauważona przez nikogo opadła na jego powierzchnię.

— Nie zauważona przez nikogo? Przez żadną z sześciu tysięcy stacji naprowadzania wyposażonych w wysokiej klasy przyrządy? I nikt nie dostrzegł nadlatującej kapsuły?

Freya zmarszczyła czoło.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Rachmaelu?

— Tylko to, że ta kapsuła czasowa z Paszczy Wieloryba, której start oglądaliśmy przed laty w telewizji, nie została wykryta przez orbitujące wokół Słońca stacje, ponieważ nigdy się w naszym układzie nie zjawiała. A nie zjawiała się dlatego, panno Holm, że pomimo przekonująco wyglądających tłumów, nigdy jej nie wysłano.

— To znaczy, że to, co widzieliśmy w telewizji. . .

— Obraz przekazywany za pośrednictwem Telporu — odparł Rachmael — ukazujący wiwatujące tłumy podczas oficjalnych uroczystości wystrzelenia kapsuły, został sfalszowany. Wielokrotnie odtwarzałem te sceny i nie ma cienia wątpliwości — wesołe okrzyki tłumu są podrobione. — Sięgając do kieszeni płaszcza, wydobyl siedmiocalową, oksydowaną kasetkę Ampeksu oraz taśmę, po czym położył je na biurku dziewczyny. — Obejrzyj to sobie uważnie. Ci ludzie nie krzyczeli. Nie mieli ku temu powodu, gdyż wypełniona cennymi zabytkami wymarłych cywilizacji Fomalhauta kapsuła czasowa nigdy nie wystartowała z Paszczy Wieloryba.

— Ale. . . — Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, niepewnie ściskając w rękę kasetę. — Dlaczego?

— Nie wiem — powiedział Rachmael. — Ale kiedy „Omphalos” dotrze na miejsce, obejrzę kolonię i wtedy się dowiem. — W głębi duszy zaś pomyślał: Nie sądzę, żebym wśród czterdziestu milionów znalazł tylko kilkudziesięciu niezadowolonych. Zresztą do tego czasu liczba kolonistów pewnie wzrosła do miliarda. Powinienem spotkać. . . — raptownie przerwał wątek. Nie wiedział. Ale z pewnością się dowie. I to już za osiemnaście lat.

II

W urządzonym z sybaryckim przepychem salonie willi, zbudowanej na orbitującym wokół Ziemi satelicie, właściciel KANT-u, Matson Glazer-Holliday, ubrany w tkany ręcznie szlafrok palił niezwykle rzadkie i cenne cygaro „Antoniusz i Kleopatra”, a równocześnie przysłuchiwał się odtwarzanym z taśmy odgłosom rozgorączkowanego tłumu.

Na wprost niego znajdował się połączony z magnetofonem oscyloskop, na którego ekranie drgały przetransformowane w obraz sygnały.

Przerwał obserwację i zwrócił się do Frei Holm.

— Tak. Można tu dostrzec wyraźny cykl. Chód tego nie słyszymy, to odwzorowanie graficzne jest jednoznaczne. Na przesłuchiwanej przez nas taśmie nagrano wiele razy jeden i ten sam fragment. Tak więc ten człowiek ma rację, zapis jest sfalszowany.

— Czy Rachmael ben Applebaum mógł... .

— Nie — zdecydowanie rzucił Matson. — Zbadałem kopię wypożyczoną z archiwum ONZ. Jest identyczna. Rachmael z pewnością nie manipulował przy taśmie. Po prostu sprawy mają się dokładnie tak, jak on przypuszcza. — Zasepiony opadł w głąb fotela.

To dziwne, pomyślał, że wynaleziony przez von Einema Telpor pracuje tylko w jedną stronę, wypromieniowując materię... . bez możliwości jej odzyskania, przynajmniej na drodze teleportacji. Dzięki temu, co jest raczej wygodne dla Szlaków Hoffmana, z Paszczy Wieloryba dociera na Ziemię tylko elektroniczny impuls, odarta z materii czysta energia — a i ta okazała się teraz sfalszowana. Jako szef agencji powinienem być odkryć to już dawno temu, a tymczasem to Rachmael mający na głowie szcujących go balonami wierzycieli, dzień i noc atakowany przez wymyślne urzędnicy, odrywany nieustannie od normalnej pracy, wpadł na trop mistyfikacji. Natomiast ja... . cholerny świat — zaklął w duchu — ja prześpałem sprawę. Czuł, że ogarnia go moralny kac.

— Szkocka Cutty Sark z wodą? — zapytała Freya.

Przytaknął machinalnie, więc dziewczyna, pełniąc zarazem obowiązki pani domu, zniknęła w jednym z pomieszczeń, by sprawdzić, czy w wartej fortunę butelce whisky z 1985 roku zostało jeszcze nieco alkoholu.

Na swoje usprawiedliwienie Matson mógł powiedzieć tylko tyle, że nigdy nie wyzbył się podejrzeń.

Od samego początku tak zwane „pierwsze twierdzenie von Einema” wydawało mu się naciągane. Za bardzo przypominało zasłonę dymną; owa jednokierunkowa teleportacja za pośrednictwem ogólnodostępnych placówek Szlaków Hoffmana. Napisz do domu z Paszczy Wieloryba, synu, gdy już tam będziesz, pomyślał kwaśno. Opowiedz swojej starej matce, jak się żyje w tym świecie czystego powietrza, gdzie świeci słońce i hasają takie małe zwierzęta i gdzie roboty Szlaków budują takie zachwycające domy.

... rozłożona na ciąg elektronicznych sygnałów odpowiedź nadejdzie punktualnie. Tyle tylko, że ukochany syn nie uczestniczy osobiście w jej przekazaniu. Nie może też wrócić, by opowiedzieć o swoich przeżyciach. Niczym w starożytnej baśni o jaskini Lwa, do siedziby władcy prowadziły wszystkie tropy ufnych zwierząt, natomiast żadne nie wiodły w stronę przeciwną. Na przestrzeni wieków historia ta powtarzała się bez końca, tym razem jednak zapowiadał się szczególnie złowieszczy finał. Wszystko wskazywało na to, że elektroniczne zespoły przekazu informacji były niczym więcej jak tylko zręcznie zakamuflowaną mistyfikacją. Musiała to być robota kogoś, pomyślał Matson, kto dobrze zna się na elektronice,

a równocześnie siedzi w tym wszystkim. Uznając to za punkt wyjścia, doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby sięgać dalej niż do osoby doktora Seppa von Einema, wynalazcy Telporu, oraz obsługujących z wielką wprawą komercyjne urządzenia Ferry'ego błyskotliwych techników z Neues Einige Deutschland.

Pracujący na Telporach Niemcy budzili jego niepokój. Tacy wyrachowani i zimni. Jak ich przodkowie z dwudziestego wieku, którzy z takim samym, pozbawionym wszelkich uczuć spokojem upychali ludzkie ciała w piecach krematorium bądź też zaganiali więźniów do łaźni będącej w istocie komorą gazową z rozpylanym ze zraszaczy cyklonem B. Tamtych finansowali godni szacunku przemysłowcy Trzeciej Rzeszy, jak choćby potężna firma Krupp und Sohnen. Von Einema wspierały Szlaki Hoffmana — przedsiębiorstwo, którego rozległe biura mieściły się w Grosser Berlinstadt — stolicy Nowych Zjednoczonych Niemiec, rodzinnym mieście naszego obecnego Sekretarza Generalnego ONZ.

— Zamiast szkockiej z wodą — polecił Matson — podaj mi akta Horsta Bertolda.

W sąsiednim pomieszczeniu Freya dotknęła przycisku uruchamiającego wbudowany w ściany willi automatyczny sprzęt. Kryły się tam zminiaturyzowane do granic możliwości elektroniczne urządzenia do sortowania i przetwarzania danych, niezwykle pojemne banki pamięci, monitory, systemy łączności. . .

Było tam coś jeszcze.

Parę pożytecznych zabytków przechowujących nie dane, tylko głowice jądrowe o wysokiej energii, które, gdyby satelita został zaatakowany przy użyciu jakiejś stosowanej przez ONZ broni ofensywnej, zostaną odpalone i unieszkodliwią każdy pocisk, zanim ten dotrze do celu.

W tej willi, na mającym w przekroju kształt elipsy Brocarda satelicie Matson czuł się bezpieczny. Dlatego też, będąc z natury ostrożny, starał się w miarę możliwości kierować stąd wszystkimi sprawami. Tam w dole, w Nowym Nowym Jorku, w biurach agencji, zawsze czuł się odsłonięty i bezbronny. Zdawał sobie sprawę, że bezpośrednią przyczyną takiego stanu rzeczy było bliskie sąsiedztwo ONZ i podlegających Horstowi Bertoldowi legionów „Pracowników Pokoju” — uzbrojonych mężczyzn i kobiet o szarych twarzach, którzy w imię Pax Terrae przemierzali świat, w swych wędrówkach nie omijając nawet księżyców. Te wzruszające, przepelnione smutkiem, skazane na porażkę, lecz wciąż jeszcze egzystujące stacje — „kolonie” powstały, zanim von Einem wynalazł teleportację, a George Hoffman odkrył Fomalhauta IX, nazwanego potem Paszczą Wieloryba i będącego pierwszą prawdziwą kolonią.

Szkoda, pomyślał Matson przekornie, że George Hoffman nie odkrył w innych systemach więcej planet nadających się do zasiedlenia przez nietrwałe, wrażliwe, myślące dwunogie istoty o określonej konstrukcji biochemicznej, jakimi my, ludzie, w istocie jesteśmy. Znamy setki planet, lecz cóż z tego. . .

Zamiast oczekiwanej sielanki — temperatura, która topi bezpieczniki termicz-

ne. Brak powietrza. Brak gleby. Brak wody.

O takich światach — a Wenus stanowi tu typowy przykład — nie da się powiedzieć, że życie na nich jest łatwe. W panujących tam warunkach całe życie ogranicza się właściwie do obszaru homeostatycznych kopuł posiadających własną atmosferę, wodę i regulację temperatury. Wnętrze kopuły zamieszkiwało najczęściej około trzystu osób. Raczej niewiele, szczególnie że tego roku populacja Ziemi ma wzrosnąć do siedmiu miliardów.

— Proszę — powiedziała Freya, sadowiac się na grubym wełnianym dywanie w pobliżu Matsona — oto akta H.B.

Otworzyła teczkę na chybił trafił. Agenci KANT-u dali z siebie w tym przypadku wszystko. Stronice raportu zawierały wiele danych, które nigdy nie przedostały się poprzez uzależnione od ONZ środki masowego przekazu do publicznej wiadomości. Nie znali ich nawet tak zwani „krytyczni” badacze i dziennikarze.

Zgodnie z prawem mogli oni do woli krytykować charakter, obyczaje, zdolności czy strój Herr Bertolda... natomiast fakty o znaczeniu zasadniczym były przed nimi starannie ukrywane.

Jednak zjednoczenie KANT, pomimo mającego ironiczny wydźwięk skrót, poradziło sobie ze wszystkimi obostrzeniami, o czym najlepiej świadczyły zgromadzone w tezcze informacje.

Była to nieprzyjemna lektura. Nawet dla Matsona Glazer-Hollidaya.

Horst Bertold urodził się w 1954 roku, na krótko przed rozpoczęciem podboju kosmosu. Podobnie jak Matson, był przedstawicielem starego świata, gdzie wszystko, co pojawiło się na niebie, uznawano niezwłocznie za „latające talerze”. W rzeczywistości termin ten przylgnął do będącej w posiadaniu U.S. Air Force broni antyrakietowej, której skuteczność, co udowodniła krótka konfrontacja w roku 1982, okazała się raczej znikoma. Horst przyszedł na świat w średniozamożnej rodzinie zamieszkałej w Berlinie, a ściślej biorąc, w jego części zwanej Berlinem Zachodnim, gdyż były to czasy, kiedy Niemcy, w co trudno dzisiaj uwierzyć, były podzielone na dwa państwa. Ojciec Horsta prowadził sklep mięsny — zajęcie jak najbardziej na miejscu, zważywszy na to, że w przeszłości był oficerem SS i należał do Einsatzgruppe mającej na sumieniu śmierć tysięcy niewinnych ludzi pochodzenia słowiańskiego i żydowskiego. Tak się jednak złożyło, że, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nikt nie miał do niego o to pretensji, później zaś, w roku 1972, w wieku lat osiemnastu na scenę wkroczył młody Horst. Oczywiście ustawa o ściganiu zbrodniarzy wojennych nigdy nie dosięgła jego ojca, który ani razu nie był niepokoiony przez aparat wymiaru sprawiedliwości Niemiec Zachodnich; uniknął też odwetowych akcji komandosów izraelskich. W roku 1970 zlikwidował sklep i zatarł tym samym ostatni ślad, na jaki mogli natrafić ludzie ciągle jeszcze poszukujący sprawców masowych mordów z lat wojny. W dwa lata później Horst został przywódcą Reinhold Jugend.

Pochodzący z Hamburga Ernst Reinhold przewodził partii mającej za cel po-

nowne zjednoczenie Niemiec. Dążył do stworzenia militarnej i ekonomicznej potęgi, która, zachowując neutralność, rozdzielałaby Wschód i Zachód. Pochłonęło to prawie dziesięć lat, ale wreszcie, po zawierusze 1982 roku otrzymał od USA i ZSRR wszystko, czego chciał: zjednoczenie oraz wolne Niemcy, pełne radości i wigoru.

Niestety pod jego przywództwem Nowe Zjednoczone Niemcy niemal od chwili utworzenia zaczęły swoją krecią robotę. Nikogo to jednak wówczas nie obeszło. Wschód i Zachód miały dosyć kłopotu ze wznoszeniem miasteczek namiotowych w miejscach, gdzie przedtem kwitły największe aglomeracje, takie jak Chicago czy Moskwa. Zależało im wtedy tylko na jednym — aby Chino-Kubańskie skrzydło partii komunistycznej nie zechciało wykorzystać sytuacji i zdecydowanie wkroczyć do akcji.

Z tajnych dokumentów Reinholta i jego NZN wyraźnie widać, że od początku nie było mowy o neutralności tego tworu. Wręcz przeciwnie. Na pierwszą ofiarę Nowe Zjednoczone Niemcy upatrzyły sobie Chiny. Pracujący na potrzeby armii naukowcy dokonali wynalazków różnych *Waffen*, przy pomocy których odbudowany Reich zadał w 1987 roku ostateczny cios Chińskiej Republice Ludowej. Studiujący akta Matson szybko przerzucił mówiące o tym strony, gdyż Niemcy wykorzystali w swym ataku środki, wobec których amerykańskie gazy porażające system nerwowy były niczym niewinna mgiełka unosząca się nad rabatką stokrotek. Wołał też nie znać szczegółów działania broni wyprodukowanej u Kruppa jako odpowiedź na miliardowe zagony Chińczyków sięgające na zachodzie do linii Wołgi, a na wschodzie — poprzez zajętą w 1983 roku Syberię — aż do Alaski. Gdy było już po wszystkim, zawarto nową ugodę na warunkach, które nawet Fausta przyprawiłyby o drżenie serca. Od tej chwili Chiny przestały się liczyć, a ich mocarstwową pozycję przejęły Nowe Zjednoczone Niemcy. To właśnie im świat musiał teraz stawić czoło.

Wytworzył się bowiem bardzo niekorzystny układ, w którym NZN zdołały przechwycić kontrolę nad jedyną mającą zasięg ogólnoswiatowy strukturą — Organizacją Narodów Zjednoczonych. Kto miał władzę na Ziemi, ten kontrolował także cały Układ Słoneczny. Światem rządzili Niemcy, a były członek Reinhold Jugend, Horst Bertold, został Sekretarzem Generalnym. Trzeba mu przyznać, że zgodnie z tym, co obiecywał w trakcie kampanii wyborczej w roku 1985, ostro zabrał się do problemów kolonizacji. Jak wynikało z jego słów, pragnął raz na zawsze rozwiązać po pierwsze istotny problem przeludnienia Ziemi — gęstość zaludnienia całego globu osiągnęła poziom Japonii z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku — i po drugie kwestie przyszłości pozostałych planet układu oraz księżyców, gdyż było oczywiste, że podjęte dotychczas przedsięwzięcia zakończyły się porażką.

Dzięki wynalezionej przez doktora von Einema teleportacji Horsto odkrył zdatną do zamieszkania planetę zbyt odległą, by można było się do niej dostać przy

użyciu statków Maury'ego Applebauma. Paszcza Wieloryba oraz zainstalowane w sieci placówek Szlaków Hoffmana urządzenia Telporu — oto była odpowiedź.

Według wszelkich ustaleń wyglądało to na kaczą zupę, pełną pierza i niestrawnych kawałków. Tyle tylko. . .

— Widzisz? — Matson zwrócił się do Frei. — Mam tu tekst przemówienia Horsta Bertolda jeszcze sprzed wyborów. Napisano je przedtem, nim pojawił się von Einem ze swym wynalazkiem. Obietnica została dana, zanim teleportacja do Układu Fomalhauta stała się możliwa z technicznego punktu widzenia, a nawet zanim system ten odkryto przez pierwsze bezzałogowe sondy.

— A więc?

— A więc — wyjaśnił Matson ponuro — nasz Sekretarz Generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych został wybrany, zanim znalazł rozwiązanie. A dla niemieckiej duszy tego człowieka mogło to znaczyć jedno i tylko jedno. Znasz opowieść o kocie i farmie szczurów. — Albo, co wydało mu się nagle znacznie bardziej prawdopodobne, było to rozwiązanie działające na zasadzie fabryki żywności dla psów.

Na ten pomysł wpadł pewien naśladowający Swifta pisarz-fantasta w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Doszedł on mianowicie do pełnego ironii wniosku, że „kwestie murzyńskie” w USA można rozwiązać przez wybudowanie gigantycznych fabryk, które przerabiałyby Murzynów na puszkowany pokarm dla psów. Była to oczywiście satyra, wzorująca się na swiftowskim „skromnym projekcie”, gdzie autor *Guliwera* problem głodu wśród Irlandczyków proponował rozwiązać przez zjadanie dzieci. W zakończeniu Swift rozpacza, że nie ma własnych dzieci, które mógłby przeznaczyć do konsumpcji. Przeróżające, ale. . .

Sytuacja była poważna — składały się na to nie tylko przeludnienie i niewystarczająca produkcja żywności, ale także obłąkańcze, paranooidalne propozycje, które niestety rozpatrywano całkiem na serio. Krótkotrwała trzecia wojna światowa — nazwana oficjalnie „Akcją pacyfikacyjną”, tak jak kiedyś wojna koreańska otrzymała miano „Akcji policyjnej” — pociągnęła za sobą śmierć kilku milionów ludzi, co było liczbą raczej znikomą. Jej skutki odczuły tylko pewne obszary i dlatego we wpływowych kręgach mówiło się o niej jako o rozwiązaniu częściowym. Była to nie katastrofa, lecz półśrodek. Tymczasem Horst Bertold obiecywał podjęcie kroków zapewniających trwałą równowagę.

Paszczka Wieloryba spełniała te warunki.

— Według mnie — Matson mruknął bardziej do siebie niż do Frei — ... zawsze podejrzliwie odnosiłem się do Paszczy Wieloryba. Gdybym nie czytał Swifta, C. Wright Millsa czy raportu Hermana Kahna dla Korporacji Randa. . . — Popatrzył na Freyę. — Na przestrzeni dziejów — powiedział po chwili — zawsze znajdowali się ludzie, którzy podchodzili do problemu w ten sposób. — I coś mi się wydaje, pomyślał, przysłuchując się zapisanemu na taśmie gwarowi, nie mającemu wbrew pozorom nic wspólnego z Paszczą Wieloryba ani wystrzeleniem

kapsuły czasowej w kierunku Ziemi, że tacy ludzie znowu są wśród nas.

Innymi słowy, mamy tu do czynienia z Sekretarzem Generalnym ONZ Horstem Bertoldem, Szlakami Hoffmana i ich wspartym na niezliczonych ekonomicznych nibynóżkach imperium oraz drogim doktorem Seppem von Einemem z podlegającymi mu placówkami Telporu — dziwacznej maszyny umożliwiającej tylko jednokierunkową teleportację.

— Ten ład — Matson zamruczał ponownie, cytując Bóg wie jakiego mędrca przeszłości — który każdy z nas musi nawiedzić pewnego dnia. . . ład, który cię czeka poza grobem. Lecz nikt nie wrócił, by o nim opowiedzieć, a dopóki oni. . .

Freya wpadła mu w słowo: — Dopóki oni kręcą tym interesem, ty zachowasz ostrożność. We wszystkim, co dotyczy kolonii. Nagrania dźwiękowe czy przekazy wideo nie przekonują cię, ponieważ wiesz, jak łatwo można je podrobić. — Wskazała magnetofon z odtwarzaną w tej chwili taśmą.

— Nie ja, tylko nasz klient — poprawił ją Matson. — Człowiek, który na jakimś głębszym poziomie świadomości — nasi przyjaciele z Reichu nazywają to „myśleniem krwi” — przeczuwa, że jeśli weźmie swój ostatni statek, międzygwiazdny flagowiec. . . zaraz, zaraz, jak się on nazywa? — Zajrzał w leżące obok papiery. — Aha, „Pępek” — odczytał. — Właśnie to oznacza wzniosłe greckie „Omphalos”. Więc jeśli poleci „Pępkim” do Fomalhauta, co zajmie mu osiemnaście lat nużącego snu, który nie tyle jest snem, co nieustannym niezmiernie wolnym miotaniem się zniewolonego przez spowolniony metabolizm organizmu, to na miejscu z pewnością nie powitają go chlebem i solą. Nie spotka tam szczęśliwych kolonistów, uśmiechniętych dzieci w autonomicznych szkołach, łagodnych, egzotycznych form miejscowego życia. Znajdzie tam. . .

No właśnie, co on tam znajdzie? Jeśli, jak podejrzewał, przekazy audio i wideo docierające z Paszczy Wieloryba na Ziemię poprzez urządzenia Telporu były tylko zasłoną dymną, to jaką rzeczywistość miały ukryć?

Nie miał pojęcia. Trudno cokolwiek przewidzieć, gdy w grę wchodzi czterdzieści milionów ludzi. Czy naprawdę fabryka pokarmu dla psów? Czy, na Boga, te czterdzieści milionów mężczyzn, kobiet i dzieci spotkała śmierć? Czyżby kolonia była jednym wielkim cmentarzyskiem, gdzie nikt nie zakłóca spokoju umarłych, nawet po to, by odebrać im złote zęby?

Nie wiedział, lecz ktoś przecież musiał znać odpowiedź. Może nawet całe Nowe Zjednoczone Niemcy, które, zdobywszy lwią część wpływów w ONZ, uzyskały automatycznie kontrolę nad wszystkimi planetami Układu Słonecznego; może członkowie tej społeczności w jakiś irracjonalny sposób instynktownie przeczuwali prawdę. Podobnie jak w latach czterdziestych intuicja podpowiadała im, że poza sielanką z rozśpiewanymi w klatkach ptakami były jeszcze komory gazowe oraz wysokie mury, przez które nie docierał na zewnątrz żaden dźwięk, a na wolność wydostawał się tylko ciężki, gryzący dym z pracujących pełną parą krematoriów.

— Oni wiedzą — powiedział Matson głośno. Wiedział Horst Bertold i Theodorice Ferry — właściciel Szlaków Hoffmana, i ten trzęsący się, lecz nadal przebiegły von Einem. A także sto trzydzieści pięć milionów obywateli Nowych Zjednoczonych Niemiec, oczywiście tylko pośrednio, tak że badania jednostkowe niewiele by tutaj dały. Gdyby na przykład zamknąć w jednym pokoju doświadczonego agenta KANT-u i jakiegoś szewca z Monachium, to zastrzyki serum prawdy, standardowe testy quasi-psioniczne czy też EEG reakcji parapsychologicznych przyniosłyby wynik negatywny, że Sytuacja była niejasna. Nie ulegało tylko wątpliwości, że zamiast łaźni z prysznicem pojawiło się coś zupełnie innego, choć równie wydajnego. Szlaki Hoffmana publikowały w wielkich nakładach trójwymiarowe, utrzymane na wysokim poziomie artystycznym, wielobarwne broszury zachwalające niezwykle życie, jakie czekało na każdego po drugiej stronie Telporu. Telewizja w dzień i w nocy nadawała aż do znudzenia reklamówki nie zamieszkanymi stepowymi krain Paszczy Wieloryba, balsamicznego powietrza (tak przynajmniej wskazywała ścieżka zapachowa) i gorących, tchnących miłością nocy na tej planecie. Jednym słowem, był to świat przyrody i wolności, wielki eksperyment ludzkości; pozbawiony uciążliwości pustyni kibuc, gdzie życie było łatwe, rosnące pod gołym niebem pomarańcze rodziły owoce wielkości grejpfruta, a te ostatnie przypominały dynie lub piersi tamtejszych kobiet. Było tylko jedno ale.

Matson podjął decyzję. — Wysyłam naszego człowieka normalną drogą przez Telpor. Będzie udawał nieznanego biznesmena mającego zamiar otworzyć zakład zegarmistrzowski. Wszczepimy mu pod skórę miniaturowy przekaźnik dalekiego zasięgu. Dzięki temu. . .

— Wiem — przerwała mu Freya nieco zmęczonym głosem; zapadał wieczór i dziewczyna najwyraźniej chciała odpocząć od ponurej rzeczywistości prowadzonych wspólnie interesów. — W regularnych odstępach czasu przekaźnik wysyłać będzie sygnał o ultrawysokiej częstotliwości w jakimś nie używanym paśmie. Impulsy ostatecznie powinny dotrzeć aż tutaj, tyle tylko, że potrwa to tygodnie.

— W porządku. — Już wiedział. Pracownik KANT-u wysłać za pośrednictwem Telporu list na Ziemię. Zwyczajną drogą. Że też nie wpadł na to wcześniej. Jeśli list nadejdzie — to doskonale. Jeśli nie. . .

— Będziesz czekać — dotarł do niego głos Frei — i czekać A zakodowany list się nie zjawi. Wtedy naprawdę zaczniesz myśleć że nasz klient, pan ben Applebaum swym odkryciem wyzwolił potężne i złowieszcze siły, które nieustannie czają się w ciemnościach spowijających nasz społeczny byt. Jaki będzie wówczas twój następny krok? Osobiście przeprawisz się na drugi brzeg?

— Wyślę ciebie — natychmiast odparł Matson. — Jako mego najlepszego agenta.

— Nie — zaprotestowała bez cienia wahania.

— Więc boisz się Paszczy Wieloryba pomimo wszystkich tych rozdawanych za darmo błyszczących folderów.

— Po prostu wiem, że Rachmael ma rację. Wiedziałam to w chwili, gdy zjawił się w drzwiach mego biura. Było to w twojej notatce. Nie pojedę i już. — Zmierzyła swego szefa-kochanka niespokojnym spojrzeniem.

— A zatem wybiorę na chybił trafił kogoś z naszego personelu.

Oczywiście żartował; dlaczegóż miałby poświęcać swoją kochankę jako pionka w tej grze? Przy okazji jednak udowodnił to, czego pragnął dowieść: ich wspólne lęki miały podłoże nie tylko intelektualne. Ani Freya, ani on nie zaryzykowaliby skorzystania z Telporu jako środka podróży na Paszczę Wieloryba, jak czyniły to codziennie tysiące nieświadomych niczego Ziemian, zabierając ze sobą niewielki bagaż osobisty i ogromne nadzieje na przyszłość.

Nienawidził robić z kogoś kozła ofiarnego, ale...

— Pete Burnside. Agent w Detroit. Powiemy mu, że chcemy otworzyć nową filię KANT-u na Paszczy Wieloryba. Aby zachować tajemnicę, zmienimy nazwę. Oficjalnie będzie to sklep wyrobów żelaznych albo salon telewizyjny. Jeszcze zobaczymy. Na razie odszukaj mi jego dane. Przekonamy się, co o nim wiemy. — Równocześnie zaś pomyślał: Robimy ofiarę z naszego człowieka. To smutne. I boli. — Poczul nieprzyjemny skurcz żołądka. — A mimo wszystko należało to zrobić, i to już wiele miesięcy temu.

Uświadomił sobie, że dopiero bankrut Rachmael ben Applebaum skłonił ich do działania. Dopiero ten człowiek — prześladowany przez idiotyczne balony wierzycielskie, które wprost nad głową wykrzykiwały wszystkie jego ułomności i tajemnice, ogarnięty pragnieniem odbycia trzydziestosześcioletniej wyprawy tylko po to, by udowodnić, że w krainie mleka i protein, hen na odległym wyjściu Telporu, gdzie każdy dorosły Ziemianin mógł znaleźć się za jedyne pięć poskredów, nie wszystko przebiegało tak, jak to sobie na ogół wyobrażano — otworzył im oczy.

Bóg jeden wiedział, co się tam działo naprawdę.

Bóg i zdominowane przez Niemców ONZ oraz Szlaki Hoffmana. Nie miał co do tego żadnych złudzeń: oni nie musieli analizować taśmy z odgłosami startu kapsuły z Paszczy Wieloryba.

A on musiał. Dlatego, że jego zawodem było prowadzenie dochodzeń. Poczul nagłe ukłucie kielkującego strachu. Pojął, że prawdopodobnie był jedynym człowiekiem na Ziemi, którego pozycja dawała jakieś szansę odkrycia prawdy.

Osiemnaście lat w kosmosie... w ciągu tego czasu setki milionów, może nawet miliard, jeśli utrzyma się dotychczasowe tempo migracji, przekroczy próg Telporu, wyruszając w podróż bez powrotu do kolonizowanego świata.

I właśnie ta jednokierunkowość najbardziej go przerażała.

Jeśli jesteś mądry — powiedział sobie Matson, uśmiechając się ponuro — nigdy nie wybieraj się do miejsc, skąd nie możesz wrócić. Nawet do Boise w Idaho... czy choćby na drugą stronę ulicy. Kiedy gdzieś wyruszasz, musisz mieć pewność, że uda ci się przywlec z powrotem.

III

O pierwszej nad ranem Rachmael ben Applebaum został wyrwany z głębokiego snu, co samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym, gdyż przeróżne urządzenia wierzyielskie niepokoiły go ostatnio przez okrągłą dobę. Jednak tym razem zamiast przypominającego wyglądem drapieżnego ptaka-roboty ujrzał przed sobą człowieka. Był to niewysoki Murzyn o przenikliwym wyrazie twarzy. Stał przed drzwiami i wymachiwał trzymanym w wyciągniętej ręce dowodem tożsamości.

— Jestem z Konsorcjum Aktywnego Nasłuchu Transkontynentalnego — powiedział. Po chwili zaś dodał: — Mam licencję pilota statków międzyplanetarnych klasy A.

Słyszając to, Rachmael obudził się do reszty. — Chce pan zabrać „Omphalosa” z Księżyca?

— Jeśli uda mi się go znaleźć. — Ciemnoskóry człowieczek uśmiechnął się krótko. — Czy mogę wejść? Chciałbym, aby towarzyszył mi pan w drodze do miejsca ukrycia „Omphalosa”. Pozwoli to nam uniknąć nieporozumień; pańscy ludzie przebywający w doku są uzbrojeni. W przeciwnym razie. . . — Podążając za Rachmaelem, przeszedł do salonu, który, mówiąc szczerze, był właściwie jedynym pokojem w tym mieszkaniu; panujące na Ziemi warunki mieszkaniowe zmuszały do pewnej oszczędności. — W przeciwnym razie i Szlaki Hoffmana wykorzystają „Omphalosa” do przewozu zaopatrzenia dla swoich kopuł na Marsie. Czyż nie tak?

— Zgadza się — przytaknął Rachmael, wciągając w pośpiechu ubranie.

— Nazywam się Al Dosker. I zdaje mi się, że przy okazji wyświadczyłem panu drobną przysługę. Otóż pozwoliłem sobie usunąć jakąś wierzyielską maszynę kręcącą się po korytarzu. — Wyciągnął z kieszeni kawałek pogiętego metalu. — Podejrzewam, że w świetle prawa czyn ten zakwalifikowano by jako „zniszczenie własności”. W każdym razie, gdy wystartujemy, to żadne cacko Szlaków nie będzie śledzić naszej trasy. Chyba żebym nie zdołał czegoś namieszać — dodał półgłosem i poklepał się po zawieszonej na piersi bogatej kolekcji szperaczy — zminiaturyzowanych urządzeń elektronicznych służących do wykrywania w najbliższym otoczeniu podsłuchów wszelkiego rodzaju.

Wkrótce potem obaj mężczyźni wędrowali już w stronę dachu, gdzie Dosker zaparkował swój ucharakteryzowany na zwykłą taksówkę skrzydłowiec. Sadowiąc się w fotelu, Rachmael nie mógł nadziwić się przeciętnemu wyglądowi wnętrza, zaledwie jednak pojazd ostrym łukiem wzbił się w czarne niebo, stało się jasne, że jego silnik daleko odbiegał od normy przewidzianej dla tego typu maszyn; prędkość 3,5 macha osiągnęli w kilka mikrosekund.

— Poprowadzi mnie pan — powiedział Dosker. — Proszę sobie wyobrazić, że nawet my w Kancie nie mamy pojęcia, gdzie ukrywa pan „Omphalosa”. Albo zrobił pan kawał naprawdę dobrej roboty, albo my staliśmy się zbyt ociążali; a może jedno i drugie.

— W porządku. — Podszedł do stolika z trójwymiarową mapą Księżyca, chwycił ramię wodzące, ustawił oś w położeniu zerowym i przesunął nim do momentu, gdy rysik zetknął się z odwzorowaniem zakamarka, gdzie jego technicy krzatali się wokół „Omphalosa”, szykując wszystko na nadejście dostawy, której nigdy nie będzie.

— Znosi nas z kursu — powiedział nagle Dosker, pochylając się nad sterującym z konsoli mikrofonem. — Pole przechwytyjące.

Na dźwięk tych słów Rachmael poczuł ogarniający go strach. Przechwyceni. Nieznane pole spychało mały skrzydłowiec Doskera z dotychczasowego kursu. Chcąc się mu przeciwstawić, ciemnoskóry pilot uruchomił wbudowane w kadłub potężne silniki raketowe firmy Whetstone-Milton, próbując wykorzystać ich moc do odzyskania poprzedniej pozycji. Na próżno, pole oddziaływało na nich w dalszym ciągu pomimo idącego w miliony funtów ciągu bliźniaczych silników pracujących unisono w serii krótkich impulsów. O obecności niewidzialnych sił spowijających pojazd świadczyły jedynie wskazania wbudowanych w konsolę przyrządów.

Po pełnej napięcia chwili ciszy Rachmael zapytał:

— Dokąd nas spycha?

— Z trójki na kurs L — lakonicznie odparł Dosker.

— A więc nie na Księżyc. — Nie dotrą zatem do kryjącego „Omphalosa” doku, to było pewne. W takim razie, dokąd ich zabierano?

— Jesteśmy na orbicie wokółziemskiej — powiedział Dosker. Krażyli dookoła Ziemi pomimo pracujących pełnym ciągiem dwóch silników W-M, które dopiero teraz Dosker z ociąganiem wyłączył. Zapas paliwa musiał opaść na niebezpiecznie niski poziom. Nie mógł dłużej ryzykować. Gdyby bowiem pole zanikło, pozbawieni paliwa orbitowaliby w nieskończoność bez możliwości wejścia na kurs, który ostatecznie doprowadziłby do lądowania na Ziemi lub Księżycu.

— Mają nas — spokojnie rzucił Dosker, zwracając się po części do Rachmaela, a po części do mikrofonu. Wyrecytował ciąg zakodowanych instrukcji, nasłuchiwał chwilę, po czym zaklął i popatrzył na Rachmaela. — Odcięli nam wszelką łączność. Nie mogę skontaktować się z Matsonem. Tak to niestety wygląda.

— Jak wygląda? — zapytał napastliwie Rachmael. — Chcesz powiedzieć, że się poddajemy? Że będziemy kręcić się wokół Ziemi, aż pomrzemy z braku tlenu? — Czy tak miała wyglądać walka KANT-u z potęgą Szlaków Hoffmana? Przecież on sam, w pojedynkę, radził sobie lepiej. Czuł się zawiedziony i zarazem całkowicie zaskoczony. Obojętnie obserwował, jak Dosker w skupieniu sprawdza zwisający mu z piersi bank szperaczy. W tej chwili pilot KANT-u sprawiał wra-

żenie bez reszty pochłoniętego wyjaśnieniem tego, czy ktoś ich obserwuje, i tylko od czasu do czasu porzucał swe zajęcie, aby pobieżnie sprawdzić kurs.

— Nie ma nasłuchu ani podglądu — powiedział, kończąc badania. — Posłuchaj ben Applebaum, przyjacielu. Odcięli mi łączność radiową z satelitą Matsona, ale nie wiedzą — w jego ciemnych oczach pojawił się błysk rozbawienia — że mam na sobie nadajnik ratunkowy; jeśli płynący z niego ciągły sygnał zostanie przerwany, automatycznie wywoła to alarm w Kancie, w biurze głównym firmy w Nowym Jorku oraz na satelicie Matsona. Tak więc już w tej chwili wszyscy wiedzą, że coś się nam stało. — Zniżywszy głos, zamruczał bardziej do siebie niż do Rachmaela. — Musimy czekać i wtedy przekonamy się, czy znajdą nas, nim nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Pozbawiony napędu statek sunął cicho po orbicie.

A potem nieoczekiwanie coś popchnęło ich z rozdzierającym zgrzytem. Rachmael upadł i turlając się pod przeciwległą ścianę, zauważył leżącego na podłodze Doskera. Znał ten odgłos. To jakiś statek cumował przy ich słuzie. Zamarł w oczekiwaniu wybuchu, a gdy ten nie nastąpił, popatrzył na pilota i w jego wzroku odczytał tę samą myśl — dobrze, że to nie pocisk.

— Mogli przecież — powiedział Dosker, ostrożnie stając na nogi — pozbyć się nas raz na zawsze. — Rozcierając ramię, popatrzył w stronę luku wejściowego. Rozmieszczone na jego obwodzie zamki ustąpiły pod wpływem płynącego z zewnątrz impulsu, a pokrywa umknęła w bok, otwierając przejście.

W słuzie stało trzech mężczyzn. Dwaj z nich trzymali w rękach lasery; ich oczy patrzyły z charakterystycznym odcieniem cynizmu właściwego ludziom, których ktoś kupił. Trzecim był elegant o gładkiej twarzy. Wystarczył jeden rzut oka, aby mieć pewność, że jego nigdy nikt nie kupił. Nie kupił i nie kupi, ponieważ to on sam był wielkim nabywcą na ludzkim targowisku; był klientem a nie produktem na sprzedaż.

Przed sobą mieli Theodorica Ferry 'ego, prezesa zarządu Szlaków Hoffmana.

Cała trójka przeszła na pokład skrzydłowca, a goryle Ferry'ego starannie przebadali całe pomieszczenie za pomocą podobnego do odkurzacza urządzenia. Wreszcie jeden z nich skinął głową szefowi i dopiero wtedy ten zwrócił się do Rachmaela:

— Czy mogę usiąść?

Po pełnej zdumienia pauzie Rachmael mruknął:

— Jasne, siadaj pan.

— Bardzo mi przykro, panie Ferry — wtrącił się Dosker — ale cały fotel jest zajęty. — Rozparł się za konsolą w ten sposób, że jego szczupłe ciało wypełniało szczelnie obydwa miseczkowate siedziska; rysy twarzy stwardniały mu w nienawistną maskę.

Wzruszywszy ramionami, postawny białowłosy mężczyzna zmierzył Doskera zimnym wzrokiem.

— To ty jesteś najlepszym pilotem KANT-u, nieprawdaż? Al Dosker... tak, widziałem cię na naszych klipach. Lecisz odnaleźć „Omphalosa”. Właściwie Applebaum nie jest potrzebny, aby ci wskazać drogę. Ja go zastąpię. — Theodoric Ferry pogrzebał chwilę w kieszeni płaszcza, skąd wydobył niewielki pakunek i podał go Doskerowi. — Oto współrzędne doków, gdzie Applebaum ukrył statek.

— Dzięki, panie Ferry — powiedział Dosker z sarkazmem tak wielkim, że zabrzmiało to niemal jak bezbrzeżne zdumienie.

— A teraz posłuchaj, Dosker, siedź cicho i zajmij się swymi sprawami, a ja porozmawiam sobie z panem Applebaumem. Co prawda nigdy dotychczas nie mieliśmy okazji się spotkać, ale za to znałem osobiście jego nieodżałowanej pamięci ojca. — Wyciągnął rękę w geście powitania.

Uprowadzając wypadki, Dosker powiedział:

— Jeśli uściśniesz mu dłoń, Rachmael, to zarazi cię wirusem, który w ciągu godziny zatruje twój organizm.

Patrząc groźnie, Theodoric skarcił Murzyna.

— Mówiłem ci, żebyś się nie wtrącał. Cholerny Kanciarz. — Zaczął ścigać przezroczystą, niewidoczną do tej pory, plastikową rękawiczkę. Więc Dosker miał rację, pomyślał Rachmael, patrząc, jak Ferry ostrożnie wrzuca rękawiczkę do szczeliny asenizacyjnej statku. — Przez ciebie — ciągnął Theodoric niemal płaczliwie — narażałem się tylko niepotrzebnie. Część bakterii mogła przecież przedostać się do powietrza.

— W każdej chwili możecie się stąd zwinąć — rozsądnie zauważył Dosker.

Theodoric wzruszył ramionami, po czym, zmieniając ton głosu, na powrót skupił uwagę na Rachmaelu. — To, co zamierza pan uczynić, budzi mój najwyższy szacunek. Proszę się nie śmiać.

— Nie śmieję się — odparł Rachmael. — Jestem po prostu zaskoczony.

— Pomimo ekonomicznego krachu stara się pan utrzymać firmę przy życiu; na wszelkie sposoby próbuje pan nie dopuścić, by wierzyciele zajęli kilka ostatnich należących do Applebaum Enterprise, a przedstawiających jakąś wartość, ruchomości — to bardzo dobrze. Ja postąpiłbym tak samo. Zrobił pan też wrażenie na Matsonie, to dlatego przydzielił panu do pomocy swego jedyne przyzwoitego pilota.

Szczerząc zęby w przesadnym uśmiechu, Dosker sięgnął do kieszeni po papierosy.

W tej samej chwili towarzyszący Ferry’emu ponurzy faceci dopadli go i fachowo wykęcili ręce. Zapieczętowana paczka papierosów wylądowała na podłodze skrzydłowca.

Jeden z goryli podniósł ją, rozerwał opakowanie i metodycznie, jeden po drugim, zaczął rozpruwać papierosy. Piąty z kolei nie dał się rozkruszyć; nie ustąpił nawet pod naciskiem ostrego scyzoryka. Po przeprowadzonych błyskawicznie w przenośnym analizatorze badaniach okazało się, że jest to homeostatyczna

strzała cefalotropiczna.

— Na czyj wzór alfa nastawiliście to cacko? — zapytał Theodoric Ferry.

— Na twój — odparł Dosker bezbarwnym głosem. Obserwował obojętnie, jak jeden z podwładnych Ferry'ego kruszy pocisk obcasem, zamieniając go z dużą fachowością w kupkę niegroźnego szmelcu.

— A więc spodziewałeś się mnie. — Szef Szlaków wydawał się nieco zmieszany.

— Zawsze się pana spodziewam, panie Ferry. — Głos Doskera był zimny niczym lód.

Theodoric Ferry jeszcze raz zwrócił się do Rachmaela.

— Jak już mówiłem, podziwiam pana i pragnę zakończyć toczący się między panem a Szlakami Hoffmana konflikt. Sporządziliśmy spis pańskich ruchomości. Proszę, oto kopia. — Wyciągnął arkusz w stronę Rachmaela, który popatrzył pytająco na ciemnoskórego pilota.

— Weź to — poradził Dosker.

Rachmael przejrzał krótką listę; wykaz był kompletny. Tyle tylko pozostało z minionej świetności Applebaum Enterprise, a jedyną rzeczą, która miała autentyczną wartość, był wielki liniowiec „Omphalos” wraz z obsługującymi go dokami na Księżycu. Musiało tam teraz wrzeć jak w ulu... Zwrócił kartkę Ferry'emu, a ten, widząc wyraz jego twarzy, pokiwał głową.

— A więc jesteśmy zgodni — powiedział Theodoric Ferry. — Bardzo dobrze. Oto moja propozycja, panie Applebaum. Może pan zatrzymać „Omphalosa”. Wydam odpowiednie instrukcje moim prawnikom, by wycofali z sądów ONZ żądanie zajęcia statku.

Dosker chrząknął ze zdumienia. Rachmael nie spuszczał oczu z Ferry'ego.

— A co w zamian? — zapytał.

— „Omphalos” nigdy nie opuści Układu Słonecznego. Szybko rozkręci pan dochodowy interes, przewożąc pasażerów i ładunki między dziewięcioma planetami i Księżycem. Pomimo faktu...

— Pomimo faktu — przerwał mu Rachmael — że „Omphalos” został zaprojektowany i zbudowany jako jednostka międzygwiazdowa, a nie międzyplanetarna. To tak, jakby używać...

— Albo się pan zgodzi — chłodno wtrącił Ferry — albo „Omphalos” przejdzie na naszą własność.

— Więc Rachmael się zgodzi — dobiegł zza konsoli głos Doskera — nie lecieć do Fomalhauta. Spisana umowa nie będzie wymieniać żadnego szczególnego systemu gwiazdowego, ale wiadomo, że nie chodzi tu o Proximę czy Alfę. Prawda, panie Ferry?

Po dłuższej przerwie Theodoric Ferry powiedział:

— Albo się zgadzacie, albo tracicie statek. Tylko tyle.

— Dlaczego, panie Ferry? — nalegał Rachmael. — Co się dzieje na Paszczy Wieloryba? Przecież ta umowa tylko potwierdza, że mam rację. — To było oczywiste; dostrzegał to on, widział Dosker, a i Ferry musiał zdawać sobie sprawę, że przedkładając taką propozycję, umacniał ich podejrzenia. Ograniczyć zasięg „Omphalosa” do dziewięciu planet Układu Słonecznego? Ale z drugiej strony, zgodnie z tym co mówił Ferry, Applebaum Enterprise ocaleje; będzie funkcjonować jako legalna jednostka ekonomiczna. A Ferry już się zatroszczy, żeby ONZ załatwiła jakąś część swoich spraw właśnie za jego pośrednictwem. Będzie można rozstać się wtedy ze zjednoczeniem KANT, z tym ich doskonałym pilotem, a potem zapomnieć o Frei Holm i Matsonie Glazer-Hollidayu, odcinając się tym samym od jedynej siły, jaka przysłała mu z pomocą.

— Nie ma co się zastanawiać — powiedział Dosker. — Zgódź się. W końcu i tak nie dostaniesz niezbędnych składników. — Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Pański ojciec, Rachmaelu — odezwał się Ferry — Maury ben Applebaum, uczyniłby wszystko, by zachować „Omphalosa”. Wie pan dobrze, że w ciągu dwóch dni znajdziemy go, a gdy to już nastąpi, nigdy nie uda się panu go odzyskać. Proszę o tym pomyśleć.

— Wiem — przytaknął Rachmael. Na Boga, gdyby tej nocy udało im się dotrzeć do „Omphalosa” i zgubić w przestrzeni, tak aby Szlaki Hoffmana nie mogły ich znaleźć, gdyby... ale było już za późno. Wszystko skończyło się, kiedy obce pole pokonało potężny, ciąg silników statku Doskera. Ferry pojawił się zbyt szybko. Zdażył na czas.

Musiał sobie wszystko przemyśleć już wcześniej. To, co proponował, wykaczało poza ramy kwestii moralnych. Jego projekt miał jak najbardziej praktyczny charakter.

— Przygotowałem odpowiednie formularze — podjął Theodoric Ferry. — Jeśli zechce pan pójść ze mną... — skinął głową w kierunku luku. — Prawo wymaga trzech świadków. Ze strony Szlaków Hoffmana mamy odpowiednie osoby. — Nie zdołał opanować uśmiechu. Było już po wszystkim i on o tym wiedział. Obrócił się i niespiesznie ruszył w stronę luku. Faceci z ochrony podążyli za nim. Widać było, że są odprężeni. Minęli owalne przejście...

Nagle coś się wydarzyło. Wstrząśnięty Rachmael z przerażeniem patrzył, jak goryle miotani gwałtownymi drgawkami osuwają się na podłogę, jak błyskawicznie postępuje dezintegracja systemów nerwowych i mięśniowych. Konwulsje nasilały się, wyglądało to, jak gdyby każda część ich ciała usiłowała wziąć górę nad resztą; dwie skręcające się w śluzie niekształtne bryły rozdierało targające przeponą pulsowanie aparatu trzewiowego, mięśnie dygotały w opętającym rytmie, na próżno usiłując wyrwać się z ogarniającej je niemocy. Obaj mężczyźni niezdolni zaczerpnąć tchu, z zamierającym krwiobiegim, ostatkiem sił walczyli ze swymi zbuntowanymi organizmami.

— Cholinesterazyna — gaz bojowy... — Rachmael usłyszał za sobą głos Do-

skera i w tej samej chwili poczuł na szyi zimny dotyk iniektora, z którego pilot wstrzyknął mu do krwi dawkę atropiny stanowiącej jedyną odtrutkę na straszliwy produkt sławetnej Korporacji FMC, monopolisty w zakresie produkcji tego nerwogazu, najskuteczniejszego ze wszystkich użytych w czasie ostatniej wojny.

— Dzięki — rzucił Rachmael. Odwrócił się od zamkniętego na powrót luku i popatrzył na ekran, gdzie pojawił się odłączony od skrzydłowca satelita Szlaków Hoffmana. Ze wskazań przyrządów wynikało, że krępujące skrzydłowiec pole zostało wyłączone. Wszystko to działo się za sprawą przybyłych na pokład satelity agentów KANT-u.

Tak więc nadajnik ratunkowy Doskera spełnił swe zadanie. Zaalarmowani eksperci Matsona wysłali ekipę poszukiwawczą, która teraz systematycznie rozprawiła się ze sprzętem Szlaków.

Luk otworzył się jeszcze raz, przepuszczając do środka kilku pracowników KANT-u.

Zachowując filozoficzny spokój, Theodoric Ferry stał w milczeniu z rękami w kieszeniach płaszcza. Nieruchomy, zdawał się w ogóle nie dostrzegać cierpienia miotających się na podłodze podwładnych, jak gdyby fakt, że ulegli działaniu gazu, uczynił ich bezwartościowymi w oczach szefa.

— To miło z waszej strony — odzyskawszy głos, Rachmael zwrócił się do Doskera — że twoi koledzy podali atropinę Ferry'emu, tak samo jak i mnie.

Zazwyczaj w takich wypadkach nikt się z nikim nie patyczkował. Obejrzawszy dokładnie Ferry'ego, Dosker pokręcił głową.

— Nikt mu nie dał atropiny.

Oderwał pusty pojemnik od swojej szyi, po chwili to samo uczynił z iniektorem Rachmaela.

— Jak się masz, Ferry? — zapytał. Nie było żadnej odpowiedzi.

— To niemożliwe — mruknął Dosker. — Każdy żywy organizm jest... — przerwał i nagle chwycił Ferry'ego za ramię. Sapiąc ciężko, wykręcił kończynę do tyłu i brutalnie szarpnął. Coś trzasnęło i uwolnione ze stawu barkowego ramię Theodorica Ferry'ego pozostało w dłoniach pilota. W oberwanym rękawie pojawiły się różnokolorowe przewody i miniaturowe zespoły elektroniczne. Część z nich, powiązana z działaniem ręki, połyskiwała martwą szarzyzną.

— To tylko dup — powiedział Dosker, a widząc zdziwienie na twarzy Rachmaela, dodał: — Duplikat Ferry'ego, pozbawiony oczywiście systemu nerwowego. A więc jego samego tu nie było — odrzucił plastikowe ramię. — To zrozumiałe; dlaczego człowiek o jego pozycji miałby narażać się na ryzyko? W tej chwili siedzi sobie pewnie wygodnie w swoim satelicie na orbicie Marsa i obserwuje wszystko za pomocą umieszczonych w duplikacie sens-ekstensorów. — Podchodząc do jednorękiej podobizny Ferry'ego, zapytał l szorstko:

— Czy mamy z tobą łączność poprzez tego klienta, Ferry? A może to jest homeo? Jestem tego po prostu ciekaw.

Duplikat poruszył ustami i rozległ się głos Ferry'ego: — Słyszę cię, Dosker. Czy w ramach humanitarnego miłosierdzia zechcesz podać atropinę moim dwóm pracownikom?

— To już zostało zrobione. — Zbliżył się do Rachmaela i powiedział: — No cóż, po dokładnym przyjrzeniu się całej tej sprawie dochodzę do wniosku, że nasz skromny statek nie został jednak zaszczycony obecnością prezesa Szlaków Hoffmana. — Wyszczerył zęby w sztucznym uśmiechu. — Czuję się oszukany.

Rachmael przytaknął, lecz równocześnie uświadomił sobie, że przedstawiona przez duplikat propozycja była jak najbardziej prawdziwa.

Przerywając milczenie, Dosker powiedział:

— Ruszajmy na Księżyc. Jako twój doradca uważam. . . — Zacisnął dłoń na nadgarstku Rachmaela. — Obudź się. Tym dwóm nic się nie stało. Dostali atropinę i szybko dojdą do siebie. Nie zabijemy ich. Uwolnimy ich wraz ze statkiem, w którym oczywiście zablokujemy urządzenia wytwarzające pole przechwytyjące. Lećmy na Księżyc, do „Omphalosa”, tak jakby się nic nie stało. A jeśli nie chcesz, polecę sam, kierując się mapą, którą dał mi duplikat. Zabiorę „Omphalosa” w przestrzeń, gdzie nie znajdą mnie agenci Szlaków, czy ci się to podoba czy nie.

— Ale — wtrącił Rachmael matowym głosem — coś się przecież wydarzyło. Otrzymałem propozycję. . .

— Ta propozycja — zaproponował Dosker — świadczy tylko o tym, że Szlaki Hoffmana są gotowe do poważnych ustępstw, byleby tylko powstrzymać cię przed osiemnastoletnią przejażdżką do Fomalhauta i zwiedzeniem Paszczy Wieloryba. A oprócz tego — zmierzył Rachmaela wzrokiem — liczą na to, że zmniejszą twoje zainteresowanie zabranie „Omphalosa” w przestrzeń międzygwiazdną.

Mógłbym uratować „Omphalosa”, pomyślał Rachmael. Ale stojący obok człowiek miał rację; a to znaczyło, że musi lecieć. Swą akcją Ferry usunął blokadę i potwierdził tylko potrzebę trwającego osiemnaście lat lotu.

— Ale niezbędne elementy wyposażenia. . .

— Tylko doprowadź mnie do statku — spokojnie i cierpliwie powtórzył Dosker. — Dobrze, Rachmael? Zrobisz to? — Modulowany z profesjonalną wprawą głos brzmiał przekonująco; Rachmael skinął głową. — Chcę dostać współrzędne od ciebie, bo postanowiłem nie dotykać mapy, którą dał mi duplikat. Wszystko zależy od ciebie, Rachmael. Czekam na twoją decyzję.

Tak — powiedział krótko Rachmael, po czym sztywno podszedł do pokładowej mapy Księżycy i zaczął przesuwac ramię wodzące, aby określić kurs dla nieugiętego, ciemnoskórego, superdoświadczzonego pilota KANT-u.

IV

W Lisiej Norze, malutkiej francuskiej restauracji w centrum San Diego, szef sali popatrzył na nazwisko, które Rachmael ben Applebaum nabazgrał pospiesznie na luksusowo przyozdobionym papierze firmowym lokalu.

— Tak, panie Applebaum — powiedział. Spojrzał na zegarek. — Dochodzi właśnie ósma. — U wejścia z każdą chwilą powiększał się ogonek dobrze ubranych ludzi; zwykły obrazek na zatłoczonej Ziemi. Wszystkie restauracje, nawet te najgorsze były oblegane każdego wieczoru. Lisia Nora nie zaliczała się do najlepszych; mówiąc szczerze, była bardziej niż mierna.

— Genet! — Szef zawołał na kelnerkę ubraną w koronkowe pończochy i wydekoltowany frak. Zgodnie z najnowszą modą miała odsłoniętą prawą pierś, której sutek przykrywał elegancki szwajcarski napierśnik. Przypominający wyglądem dużą, złocistą gumę do ołówków, wygrywał przeboje muzyki klasycznej i rozsiewał wokół zogniskowany na podłodze drżący blask, pozwalający odnaleźć drogę wśród ciasno poustawianych stolików.

— Słucham cię, Gaspar — powiedziała dziewczyna, potrząsając szopą wysoko upiętych blond włosów.

— Zaprowadź pana Applebauma do stolika dwadzieścia dwa polecił szef, ignorując ze stoickim spokojem objawy niezadowoleń pośród stojących z przodu klientów.

— Ale przecież ja nie chcę... — zaczął Rachmael, lecz Gaspar f nie dał mu skończyć.

— Wszystko jest gotowe. Ona czeka na pana przy stoliku dwadzieścia dwa. — Głos szefa sali brzmiał przekonująco. Najwyraźniej nieobca mu była znajomość pogmatwanych więzi erotycznych, które niestety w tym przypadku, przynajmniej na razie, zupełnie nie wchodziły w rachubę.

Podążając śladem Genet, Rachmael zanurzył się w ciemnościach rozprasza-nych nieco przez emanujące z napierśnika kelnerki światło. Z najbliższego sąsiedztwa dobiegały odgłosy pospiesznie jedzących ludzi. Każdy starał się jak najszybciej przełknąć posiłek i śledzony zawistnym wzrokiem stojących w kolejce, ustępował miejsca następnemu, tak aby wszyscy otrzymali swoje porcje, zanim o drugiej nad ranem kuchnia zostanie zamknięta... Tłoczmy się tutaj niczym mrówki, pomyślał, rozglądając się dokoła, przez co niemal wpadł na plecy Genet. Dziewczyna przystanęła, po czym obróciła się w jego stronę. Z jej napierśnika promieniowała ciepłem miękka, bladoczerwona poświata. W pełgającym łagodnie blasku dostrzegł siedzącą przy stoliku dwadzieścia dwa Freyę Holm.

Zajmując miejsce na wprost niej, raczej stwierdził, niż zapytał:

— Nie zapala pani światła.

— Mogłabym. Ale w takich warunkach *Nad pięknym, modrym Dunajem* brzmi o wiele lepiej.

Uśmiechnął się. W zgęstniałym mroku — kelnerka zniknęła bezszelestnie po wykonaniu zadania — jej oczy zaśniły mocnym blaskiem. Przed nią na stoliku stała butelka Buena Vista, rocznik 2002 — jednego z najlepszych, rzadko spotykanych w restauracjach gatunków. I bardzo drogiego; Rachmael zaczął intensywnie zastanawiać się, kto zapłaci rachunek za to dwunastoletnie wino z Kalifornii. Bardzo chciałby uczynić to sam, ale... odruchowo dotknął portfela, co nie umknęło uwagi Frei.

— Nie przejmuj się. Restauracja należy do Matsona Glazer-Hollidaya. Rachunek opiewać będzie tylko na jakieś sześć posredów, za porcję masła orzechowego i kanapkę z galaretką z winogron. — Roześmiała się ponownie, a w jej oczach roz błysły kolorowe iskierki padającego spod sufitu światła japońskich lampionów.

— Czy to miejsce cię onieśmiela? — zapytała.

— Nie, jestem po prostu spięty. — Od sześciu dni „Omphalos” krył się w przestrzeni — nawet on nie wiedział, gdzie go szukać. Matson zresztą też. Możliwe, że ze względu na powodzenie przyszłych zamierzeń jedynie tkwiący teraz w sterowni statku Al Dosker znał dane dotyczące kursu.

Dla Rachmaela widok niknącego w bezkresnej czerni nieba „Omphalosa” był niezmiernie przygnębiający. Ferry miał jednak całkowitą rację. Flagowiec Applebaumów był *sine qua non* Applebaum Enterprise; oprócz niego nic nie zostało.

Ale dzięki temu statek miał jeszcze szansę powrotu. Bardzo prawdopodobne, że to Rachmael złoży mu wizytę. Szybki skrzydłowiec KANT-u dowiezie go na miejsce, a on sobie wszystko obejrzy, wejdzie na pokład i wystartuje w osiemnastoletnią podróż. Była jednak jeszcze inna możliwość...

— Nie myśl o propozycji Ferry’ego — odezwała się Freya, jakby czytając w jego myślach. Skinęła na kelnerkę, która po chwili wróciła z pustą szklanką i postawiła ją przed nowo przybyłym. Rachmael posłusznie nalał sobie białego Buena Vista z 2002, upił niewielki łyk i powstrzymując się przed natychmiastowym wypiciem reszty, obojętnie pokiwał głową. Chciał, aby wyglądało to tak, jakby boski aromat trunku nie był dla niego niczym niezwykłym. Pociągnął następny łyk i pomyślał, że wszystko, co wypił w dotychczasowym życiu, w porównaniu z tym winem było nie lepsze niż popłuczyny.

— Nie zastanawiam się nad nią — odpowiedział. Zwłaszcza teraz, dodał w duchu, gdy widzę twoją wypchaną torebkę i domyślam się, co może się w niej kryć...

Czarna, skórzana torebka w kształcie torby listonosza leżała na blacie stołu w zasięgu jego ręki.

— Potrzebne składniki — powiedziała cicho Freya — są w tej torbie, w złotym, okrągłym pojemniczku z napisem „Wieczność Potencji Seksualnej Zapach 54”, popularny kosmetyk z kontynentu. Ktokolwiek przetrząsałby moją torbę, nie

zdziwiłby się na jego widok. Pod wewnętrznym wieczkiem znajdziesz dwadzieścia interesujących cię elementów, zminiaturyzowanych do mikroskopijnych rozmiarów. Pod etykietką, na indyjskim papierze, masz zaznaczony schemat montażowy. Za chwilę wstanę od stołu i pójdę do toalety. Przez jakiś czas posiedź spokojnie na miejscu — tylko pamiętaj, niczym się nie zdradź, gdyż według naszych obliczeń istnieje prawdopodobieństwo siedem do trzydziestu, że agenci Szlaków będą nas śledzić — a gdy moja nieobecność zacznie się przedłużać, udaj zdenerwowanie i postaraj się zwrócić na siebie uwagę Genet, zamów jakiś obiad, a co najważniejsze — poproś o menu.

Pokiwał w napięciu głową.

— Na twój znak podejdzie i poda ci kartę; jest duża i sztywna, mieści się przecież na niej spis wszystkich win. Oprzesz ją o stół tak, aby zakrywała torebkę.

— A potem, niby przypadkowo, strącę torbę na podłogę i zacznę zbierać rozsypaną zawartość...

— Oszalałeś? Wszystko, co masz zrobić, to dotknąć kartą torebki. W prawej okładce jest wszyty wąski pasek tytanu, w pojemniku zaś znajduje się wyczulony na ten pierwiastek obwód tropiczny wyposażony we własny napęd. W ciągu dwóch sekund czujnik stwierdzi obecność tytanu i uruchomi silniczek, który wytoczy pudełko na zewnątrz torebki. Jak widzisz, zostawiam ją otwartą. Pojemnik zacznie wędrować wewnętrzną stroną okładki, a ponieważ pasek tytanu umieściliśmy w jej prawym dolnym rogu, nie będziesz musiał poruszać ręką, która cały czas naturalnym gestem trzymać będzie menu. Gdy pojemnik zetknie się z paskiem, wywoła niewielkie napięcie rzędu dwudziestu wolt. Odczujesz to i wtedy czterema zakrytymi przez kartę palcami obejmiesz pojemnik, oderwiesz lekko od okładki i zrzucisz sobie na kolana. Gdy już to zrobisz, lewą ręką schowasz go do kieszeni. — Podniosła się z miejsca. — Wróć za sześć minut. Na razie. Życzę powodzenia.

Odprowadził ją wzrokiem.

Siedząc samotnie, czuł wzbierającą gdzieś w środku żądzę działania. Chciał się poderwać, przerwać dłużące się oczekiwanie. Zdawał sobie sprawę, że przetrzut zdobytych dla niego na czarnym rynku elementów będzie sprawą trudną i zarazem delikatną, gdyż Theodoric Ferry, nawet pozbawiony swego satelity, paru ludzi i sobowtóra, był w stanie roztoczyć ścisły nadzór nad wszelkimi poczynaniami Rachmaela. Szlaki Hoffmana wprowadziły zapewne do akcji wszystkie siły i środki, chcąc pomścić porażkę Ferry'ego.

I tak oto pozornie odległy i bezosobowy konflikt jeszcze raz przekształcił się w coś, czym zawsze był dla jego ojca: w uzależnione od ludzkich uczuć, bezpośrednie starcie. Teraz on podejmował walkę, która jak dotąd przyniosła jedynie śmierć ojca i rozpad firmy.

Pamiętając o tym wszystkim, Rachmael zaczął się wiercić, potem wstał i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu dziewczyny ze świecącym i przygrywającym

wesoło napierśnikiem.

— Czy życzy pan sobie menu? — Stała przed nim Genet, wyciągając ku niemu wielkie, pięknie wydrukowane i oprawne w wytłaczane okładki menu. Podziękował, grzecznie przyjął kartę i z pobrzmiewającymi w uszach taktami walca Johanna Straussa wrócił do stolika.

Karta przypominała wielkością staroświecki dwupłytowy album, z łatwością więc zakryła torbę Frei. Trzymając otwarte menu, przeglądał wykaz win, szczególną uwagę zwracając na ceny. Dobry Boże! Butelka porządnego wina kosztowała tutaj fortunę. A za sto gram białego stołowego trzeba było...

Wszystkie lokale w rodzaju Lisiej Nory wykorzystywały fakt przeludnienia Ziemi. Ludzie, którzy po trzy godziny czekali na wejście, płacili każdą cenę — z psychologicznego punktu widzenia nie mieli wyjścia.

Słaby elektryczny wstrząs wywołał drżenie prawej ręki. Okrągły pojemnik dotknął dłoni, więc zgodnie z instrukcją nieznacznym ruchem palców oderwał go od okładki i zrzucił sobie na kolana.

Wyciągnął właśnie lewą rękę, by przenieść pudełko do kieszeni...

— Przepraszam... uups. — Robot z wyładowaną półmiskami tacą wpadł na niego z takim impetem, że aż przechylił się wraz z krzesłem. Panował tu taki ścisk, wszędzie pełno ludzi, ci wychodzą, ci zajmują miejsca, roboty sprzątające, rój kelnerów w świecących napierśnikach... nieco zdenerwowany Rachmael poprawił się na krześle i sięgnął po pojemnik.

Pojemnik znikł.

Może na podłodze? Z niedowierzaniem zajrzał pod stół, ujrzał własne buty, stołowe nogi i jakiś pomięty folder. Nigdzie śladu złocistego pudełka.

A więc udało im się. To oni nastali tego robota, który teraz bez trudu zniknął w panującym dookoła zamieszaniu.

Rachmael siedział przybity, niewidzącymi oczami wpatrywał się w przestrzeń. Potem nalał sobie wina i wzniosł szklanę w toaście. Spełniał go za niezaprzeczalny sukces czających się wokół niewidzialnych sił Szlaków Hoffmana, które, interweniując w decydującym momencie, pozbawiły go niezbędnego do opuszczenia Układu Słonecznego wyposażenia.

Teraz nie miało już żadnego znaczenia, czy spotka się z Doskerem na pokładzie „Omphalosa”; bez tych drobiazgów lot byłby czystym szaleństwem.

Wróciła Freya. Usiadła naprzeciwko. — Wszystko w porządku? — zapytała z uśmiechem.

Grobowym głosem powiedział: — Powstrzymali nas. — Na razie, dodał w duchu, ale to jeszcze nie koniec.

Wypił duszkiem znakomite, kosztowne i zupełnie niepotrzebne wino — wino,

które nagle nabrało goryczy całkowitej porażki.

Na ekranie telewizora Omar Jonez, prezydent kolonii, najwyższy urzędnik rezydujący w wielkim modularnym wieżowcu na Paszczy Wieloryba, rozpoczął jowialnie kolejne przemówienie.

— Witajcie wszyscy, którzy pozostaliście w domu, stłoczeni w tych małych pudełkach, w jakich przyszło wam żyć — pozdrawiamy was i życzymy wam szczęścia. — Na znajomej, okrągłej, przyjemnej twarzy pojawił się ciepły uśmiech. — Zastanawiamy się, kiedy wy wszyscy pójdziecie po rozum do głowy i przyłączycie się do nas tu, w kolonii. Co? — Nasłuchując, przystawił dłoń do ucha. Zachowywał się tak, jakby to była transmisja dwustronna. Zwykła iluzja. W rzeczywistości program odtwarzano z taśmy wideo nagranej w centrum Telporu w Schweinfort, skąd poprzez ONZ-owską sieć satelitów, program docierał do każdego zakątka Ziemi. Rachmael powiedział głośno:

— Przepraszam, prezydencie kolonii Paszcza Wieloryba, Omarze Jones.

A potem pomyślał: Odwiedzę cię któregoś dnia na własną rękę. Nie skorzystam z Telporu von Einema za jedyne pięć posredów, więc trochę to potrwa... Prawdę mówiąc, ciekaw jestem, prezydencie Jones, czy będzie pan jeszcze żył, gdy do was przybędę. Zwłaszcza teraz, po porażce w Lisiej Norze...

Wtedy w San Diego przeciwnik pozbawił go wsparcia, jakie dawał KANT. Siedział sobie przy stoliku z ich agentką, piękną, ciemnowłosą Freyą Holm, pił wyborne wino, żartował i śmiał się, a gdy nadszedł decydujący moment przeniesienia zdobytego przez KANT wyposażenia na odcinku pięciu cali...

Rozległ się szczebiot umieszczonego w module sypialnym wideofonu, oznajmiając, że ktoś pragnie się z nim skontaktować.

Wyłączywszy radosną twarz prezydenta kolonii, Rachmael przeszedł do sypialni i podniósł słuchawkę. Na szarym ekraniku, powoli nabierając ostrości, pojawiły się rysy Matsona Glazer-Hollidaya.

— Witam pana, panie ben Applebaum — odezwał się szef KANT-u.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Rachmael głosem, w którym wyraźnie po-brzmiewał żal po niepowetowanej stracie. — Zastanawiam się, czy ci ludzie nie kontrolują tej...

— O tak, nasze przyrządy rejestrują podejrzane szmery na tej wideolinii. — Matson pokiwał głową, ale nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. — Jestem pewien, że nie tylko kontrolują naszą rozmowę, ale nagrywają tak obraz, jak i dźwięk. Nic im jednak z tego nie przyjdzie. To, co chcę panu przekazać, nie jest żadną tajemnicą. Proszę się połączyć z głównym obwodem najbliższej biblioteki publicznej Xeroxa.

— I co potem?

— Przestudiuje pan dokładnie — polecił Matson Glazer-Holliday — rapor-

ty z okresu odkrycia Paszczy Wieloryba. Przekazy z pierwszych bezzałogowych sond i stacji orbitalnych, wysyłanych z Układu Słonecznego dawno, dawno temu, jeszcze pod koniec dwudziestego wieku.

— Ale dlaczego...

— Będę z panem w kontakcie. Do widzenia. Miło mi było... — Zmierzył Rachmaela uważnym spojrzeniem. — I proszę się nie przejmować tym drobnym incydentem w restauracji. Zapewniam pana, że to nic wielkiego. — Zasalutował żartobliwie i zaraz potem zniknął z niewielkiego czarno-białego ekranu.

Korporacja Wideofon Wes-Dem nie troszczyła się zbyt o klientów, zapewniając tylko symboliczny serwis, lecz jako firma użyteczności publicznej, licencjonowana przez ONZ, nie miała z tego tytułu żadnych nieprzyjemności.

Oszołomiony Rachmael potrząsnął głową i powoli odwiesił słuchawkę.

Wyniki badań pierwszych wysyłanych do Fomalhauta bezzałogowych obiektów były dostępne dla każdego; czegoż zatem wartościowego można się z nich dowiedzieć? Bez przekonania wystukał numer lokalnej filii nowojorskiej biblioteki Xeroxa.

— Proszę przysłać do mego pokoju — powiedział — zwięzły przegląd wszelkich dostępnych materiałów dotyczących początków badań Układu Fomalhauta. — Przez chwilę usiłował przypomnieć sobie wygląd tych przestarzałych już konstrukcji, za pomocą których George Hoffman odkrył zdatną do kolonizacji planetę Paszcza Wieloryba.

Z zadumy wyrwał go robot-goniec objuczony pojemnikiem z kilkunastoma szpulkami taśmy. Rachmael pokwitował przesyłkę i niezwłocznie zasiadł przy przeglądarce. Pierwsza powędrowała do aparatu taśma opatrzona tytułem *Ogólne badania Fomalhauta przy użyciu bezzałogowych sond międzysystemowych, wersja skrócona*. Umieszczony poniżej napis głosił, że kompilacja ta była dziełem kogoś o nazwisku G.S. Purdy.

Badał taśmę przez dwie godziny. Na kolejnych klatkach widać było zbliżające się coraz bardziej obce słońce. Później pojawiły się planety. Jedna za drugą paradowały przed kamerami sondy, a ich widok za każdym razem budził jedynie gorzkie rozczarowanie. Dopiero gdy z mroku wypłynęła planeta numer dziewięć, sprawy przybrały inny obrót.

Tym razem nie było nagich skał, nie stępionych przez erozję lśniących grani. Zamiast pozbawionej wszelkich zarasków wypełnionej metanem w postaci gazu — a w dalszych odległościach od słońca także w formie zestalonej — sterylnej pustki, pojawił się przed nim błękitnozielony glob o powierzchni pofalowanej w fantazyjne wstęgi. Widok ten był na tyle niezwykły, że skłonił doktora von Einema do przyspieszenia prac nad konstrukcją Telporu mającego utworzyć bezpośrednie połączenie pomiędzy nowym światem a Ziemią. Tutejszy krajobraz utrzymany w tonacji dojrzałej śliwki wzbudził zainteresowanie Szlaków Hoffmana, przez co stał się jednocześnie początkiem końca Applebaum Enterprise.

Ostatni zapis wideo pochodził sprzed piętnastu lat. Od tego czasu zaczęła funkcjonować aparatura teleportująca, wobec czego zrezygnowano z pozostałych środków, jako zbyt przestarzałych. A zatem pierwsze bezzałogowe sondy krążące wokół Fomalhauta...

No właśnie. Co się z nimi stało? Według Pudry'ego pozostawiono je samym sobie. Ze zdalnie wyłączonymi bateriami zasilającymi wciąż krążyły po orbitach opasujących Paszczę Wieloryba.

Nadal tam były.

I przez te wszystkie lata baterie gromadziły energię przy praktycznie zerowym jej zużyciu. A ponieważ ogniwa były wykonane z płynnego helu III...

Czy właśnie o tym chciał mu powiedzieć Matson?

Cofnął taśmę do początku i przejrzał ją jeszcze raz, aż w końcu dotarł do najważniejszej informacji. Największe obserwatorium orbitalne wysłane do Układu Fomalhauta należało do Korporacji Wideofon West-Dem. Ktoś w tej firmie powinien wiedzieć, czy satelita noszący nazwę „Książę Albert B-y” nadal znajdował się na swej orbicie.

Podszedł do wideofonu i znieruchomiał z ręką na słuchawce. Przecież był na podsłuchu. Szybko zmienił decyzję. Wyszedł z pokoju, zjechał windą na dół i wydostał się na ulicę. Wskoczył na ruchomy chodnik, którym dojechał do stojącej nieco na uboczu budki telefonicznej. Połączył się z czynnymi całą dobę biurami Korporacji Wideofon w Detroit.

— Z działem archiwów — zwrócił się do obsługującego centralkę robota.

Robot zniknął, a zamiast niego po kilkunastu sekundach pojawił się zasuszonego staruszek w szarym garniturze. Przypominał z wyglądu księgowego i sprawiał wrażenie bardzo kompetentnego. — Tak?

— Interesuje mnie — wyłuszczył swój problem Rachmael — wasz satelita badawczy „Książę Albert B-y” ustawiony siedemnaście lat temu na orbicie wokół Fomalhauta. Chciałbym, jeśli to możliwe, aby państwo sprawdzili, czy obserwatorium to nadal jest na swoim miejscu, a jeśli tak, to w jaki sposób można je ponownie uruchomić, tak żeby...

Ekran wypełnił się szarą mgłą. Kompetentny urzędnik przerwał połączenie. Rachmael odczekał chwilę, lecz nie odezwała się już ani centrala Wideofonu, ani lokalna rozmównica.

Jeśli tak dalej pójdzie, to zostanie całkiem odizolowany, pomyślał, i wstrząśnięty opuścił budkę.

Wskoczył ponownie na ruchomy chodnik, pozwalając unosić się w przypadkowych kierunkach do czasu, aż zauważył kolejny publiczny wideofon.

Tym razem wybrał numer Matsona Glazer-Hollidaya. Niemal natychmiast ujrzał przed sobą twarz właściciela KANT-u,

— Przepraszam, że panu przeszkadzam — powiedział Rachmael z lekkim zakłopotaniem — ale przejrzałem właśnie taśmę dotyczącą badań Układu Fomal-

hauta prowadzonych przez pierwsze bezzałogowe sondy.

— Dowiedział się pan czegoś?

— Zadzwoiłem do Korporacji Wideofon West-Dem i zapytałem ich o „Księcia Alberta B-y”.

— Co panu odpowiedzieli?

— Wyłączyli się natychmiast.

— Satelita — powiedział Matson — wciąż jeszcze tkwi na swoim miejscu.

— A czy wysyła jakieś sygnały?

— Milczy od piętnastu lat. Ale taki wędrujący z hiperszybkością sygnał potrzebowałby zaledwie tygodnia na przebycie dwudziestu czterech lat świetlnych do granic Układu Słonecznego, a więc znacznie szybciej, niż mógłby tego dokonać „Omphalos”.

— Czy istnieje jakaś możliwość ponownego uruchomienia satelity?

— Korporacja Wideofon może nadać bezpośrednią komendę przez Telpor — odpowiedział Matson. — Jeśli oczywiście zechce.

— A czy zechce?

Po chwili namysłu Matson odpowiedział:

— Czy gdyby chcieli, to wyłączyliby się w taki sposób? Zastanowiwszy się chwilę, Rachmael zapytał:

— Czy ktoś jeszcze może przesłać odpowiedni impuls?

— Nie. Tylko Korporacja Wideofon zna częstotliwość, która wywoła odzew.

— Czy właśnie tego miałem się dowiedzieć? — zapytał Rachmael.

Glazer-Holliday uśmiechnął się.

— Do widzenia, panie ben Applebaum. Życzę powodzenia w dalszych poszukiwaniach. — Odłożył słuchawkę i kolejny raz w ciągu tego dnia ekran przed Rachmaelem zmienił się w srebrzyste zwierciadło.

Odwracając się od wideofonu w salonie swojej willi, Matson popatrzył porozumiewawczo na Freyę Holm. Dziewczyna siedziała na kanapie z podwiniętymi pod siebie nogami. Ubrana była w najmodniejszą przejrystą bluzkę z niebieskiego jedwabiu i bufiaste spodnie.

— Znalazł go — powiedział. — Wie już o „Księciu Albercie B-y”. — Przeszedł się parę razy po pokoju. — Dobra — zdecydował. — Za sześć godzin nasz pracownik pod przybranym nazwiskiem, Bergen Phillips, zostanie wysłany na Paszczę Wieloryba. Wyruszy z placówki Szlaków w Paryżu. Gdy tylko znajdzie się na miejscu, prześle nam za pośrednictwem Telporu zakodowany dokument opisujący prawdziwą sytuację w kolonii. — Mówiąc to, był jednak przekonany, że agenci Ferry’ego zdemaskują Bergena Phillipsa, nim zdoła on wypełnić powierzone zadanie i przy użyciu powszechnie znanych metod wyciągną z weterana KANT-u wszystkie wiadomości; nadadzą wtedy sfalszowaną depezę o treści mającej upewnić Matsona, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, a on po jej

przeczytaniu nigdy się nie dowie, czy pochodzi ona od Bergena Phillipsa, czy też może jest dziełem Szlaków.

Freya także dostrzegała takie niebezpieczeństwo.

— Gdy nasz człowiek dotrze na Paszczę Wieloryba, powinien przede wszystkim nadać sygnał uruchamiający „Księcia Alberta”. Satelita zacznie wysyłać dane, które docierając do Układu Słonecznego, ukążą nam prawdziwe oblicze kolonii.

— Jeśli — zauważył Matson — będzie sprawny po piętnastoletniej przerwie. I jeżeli Korporacja Wideofon nie nada instrukcji blokującej z chwilą nadejścia pierwszych obrazów. — Ale nawet wtedy, przy umiejętnym podłączeniu aparatury rejestrującej do łączy Wideofonu, był w stanie przechwycić każdy, nawet najkrótszy nadchodzący z kosmosu sygnał. Liczył na to, że nim transmisja zostanie przerwana, otrzyma choć jedno wyraźne ujęcie planety. A że zostanie przerwana, to nie ulegało wątpliwości.

— Jedno dobre ujęcie — powiedział głośno — i będziemy wiedzieć.

— Co będziemy wiedzieć? — zapytała, odstawiając drinka na stojący w pobliżu antyczny stolik do kawy ze szklanym blatem.

— Powiem ci, kochanie, gdy je zobaczę. — Podeszedł do konsoli łączności i uruchomił zaprogramowaną wcześniej transmisję. Wzywał w niej człowieka udającego się na Paszczę Wieloryba do przybycia na swego satelitę. Chciał mu przekazać osobiście kilka tajnych instrukcji, a wykorzystanie do tego celu wideofonu byłoby równoznaczne z rozgłoszeniem wiadomości wszem wobec.

Zaczął zastanawiać się, czy nie powiedział zbyt wiele Rachmaelowi. Ostatecznie jednak w jego fachu nie sposób uniknąć ryzyka. A poza tym Rachmael zadzwonił z publicznej budki; jak na amatora był to zaskakujący przejaw ostrożności. W dzisiejszych czasach taka ostrożność nie była niczym chorobliwym. Była to cecha jak najbardziej pożyteczna.

Na kolorowym ekranie trójwymiarowego telewizora, wyposażonego w ścieżkę zapachową, pojawiły się zaokrąglone, jowialne rysy prezydenta kolonii, Omara Jonesa.

— Wy, ludzie ze starej, zatłoczonej Ziemi — w tle za jego plecami pojawiły się rozległe na wiele mil połacie otwartego stepu — napełniacie nas zdumieniem. Dotarły do nas słuchy, że zamierzacie wysłać hiperprzestrzenny statek, który zjawi się tutaj za... chwileczkę, muszę obliczyć. — Udał, że się zastanawia.

Przed telewizorem (nie spłaconym do końca) Jack McElhatten, ciężko pracujący, łatwowierny i prostoduszny chłopak powiedział do żony:

— Jezu, popatrz na tę przestrzeń. — Widok z ekranu przypominał mu słodkie, kruche dzieciństwo; na zawsze minione, najlepsze lata z Oregońskiego Szlaku, części Wyoming na zachód od Cheyenne. Czuł jak narasta w nim niepoohamowana

tęsknota. — Musimy wyemigrować, Ruth. Jesteśmy to winni naszym dzieciom. Mogą przecież wyrastać jako...

— Ciii — odpowiedziała Ruth.

Na ekranie prezydent Omar Jones kończył właśnie przerwane zdanie: — ... za jakieś osiemnaście lat, moi drodzy, statek zakończy podróż i wyląduje na naszej planecie. Aby uczcić ten fakt, postanowiliśmy przypuszczalny dzień lądowania — to jest dwudziestego czwartego listopada 2032 roku — nazwać Dniem Latającego Holendra. — Zakrztusił się krótkim śmiechem. — Będę miał wówczas, hm, dziewięćdziesiąt cztery lata i — przykro mi o tym mówić — prawdopodobnie nie będzie mnie wśród obchodzących tę uroczystość. Lecz zapewne potomni, a wśród nich i niektórzy spośród was, moi młodzi przyjaciele...

— Słyszałaś? — McElhatten niedowierzająco pokręcił głową. — Jakiś frajer chce wybrać się w podróż jak za dawnych lat. Osiemnaście lat w hiperprzestrzeni! I to wtedy, gdy wystarczy...

— Zamknij się — rzuciła z wściekłością Ruth, próbując nie uronić ni słowa z wypowiedzi prezydenta.

— ... zbiorą się tutaj, by powitać tego pana Applebauma. — Głos Omara Jonesa nabrał tonów drwiącego szacunku. — Flagi, transparenty, służby porządkowe... w tym czasie będzie nas już około, powiedzmy, miliarda, lecz nadal pozostanie dużo wolnego miejsca. Nawet jeśli populacja wzrośnie do dwóch miliardów, to miejsca i tak dla nikogo nie zabraknie. Tak więc nie ma się nad czym zastanawiać. Przyłączcie się do nas. Przejdźcie na drugi brzeg, by razem z nami świętować Dzień Latającego Holendra. — Zachęcająco machnął ręką i Jackowi McElhattenowi wydało się, że ten człowiek z Paszczy Wieloryba kiwa właśnie na niego. Trawiąca go tęsknota odezwała się ze wzmożoną siłą.

Prawdziwy pionier, pomyślał. Ich sąsiedzi z zatłoczonego wieżowca, z którymi dzielą łazienkę... albo raczej dzielili do chwili, gdy przed miesiącem Pattersonowie wyemigrowali na Paszczę Wieloryba. Wideolisty od Jerome'a Pattersona; Boże, ile w nich zachwytu nad panującymi w kolonii warunkami. Jeśli nawet nie wierzyć środkom masowego przekazu, które zawsze coś dodają od siebie, to te listy były najlepszą zachętą; piękno i możliwość dorobienia się.

— Potrzebujemy mężczyzn — agitował Omar Jones. — Zdrowych, silnych mężczyzn, którzy nie boją się ciężkiej pracy. Czy jesteś takim mężczyzną? Chętnym, zdolnym, zdecydowanym, powyżej osiemnastego roku życia? Chcesz zacząć nowe życie wyposażony tylko w dwie ręce, umysł i dane ci przez Boga umiejętności? Przemyśl to. W jaki sposób wykorzystujesz swój umysł i ręce teraz? Sprawdzam jakość na taśmie w fabryce samochodów, odpowiedział sobie z goryczą McElhatten, zajęcie, do którego gołąb nadawałby się znacznie lepiej. Prawdę mówiąc, gołąb był tam właśnie po to, by kontrolować jego pracę.

— Czy możesz sobie wyobrazić — zwrócił się do żony — pracę, gdzie oko gołębia dokładniej niż twoje wychwytuje wszelkie braki?

— A on był właśnie w takiej sytuacji: odrzucał elementy, których powierzchnia nie była dostatecznie wyrównana. Jeśli coś przeoczył, do akcji wkraczał gołąb. Uderzał dziobem w odpowiedni przycisk i mechanizm kontrolny usuwał z taśmy wybrakowany detal. Ludzie rzucali tę robotę i emigrowali, a w miarę jak ich ubywało, w dziale kontroli jakości Krino Associates pojawiało się coraz więcej gołębi.

Właściwie to utrzymał posadę jedynie dzięki temu, że jego Związek był na tyle silny, by wymóc na dyrekcji pozostawienie go na dotychczasowym stanowisku ze względu na wieloletni staż pracy. Ale gdy tylko złożył wymówienie...

— W końcu wszystkich zastąpią gołębie — powiedział do Ruth.

— Okay, my i tak przeprowadzimy się na Paszczę Wieloryba i wtedy nie będę musiał współzawodniczyć z ptakami. — Współzawodniczyć i przegrywać, pomyślał. Mam przecież do zaoferowania tylko słabe ludzkie oczy. — A gdy to wreszcie nastąpi, wszyscy w Krino się ucieszą — powiedział ze smutkiem.

— Chciałabym — z namysłem odezwała się Ruth — żebyś tam, w kolonii, dostał jakąś dobrą pracę. Tylko widzisz, chodzi mi o to, że choć w kółko bębnią o „tylu różnych zajęciach”, to przecież ty nie jesteś w stanie się ich podjąć. Do jakiej pracy — zawahała się przez chwilę — zostałeś przygotowany? Ostatecznie pracujesz dla Krino Associates od dziesięciu lat.

— Zajmę się rolnictwem.

Popatrzyła na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

— Dadzą nam dwadzieścia akrów. Przed wyjazdem kupimy owce, takie z czarnymi głowami. Rasa Suffolk. Zabierzemy pięć owiec i jednego barana, ustawimy ogrodzenie, sami zbudujemy dom z prefabrykowanych elementów. — Wiedział, że da sobie radę. Innym się udawało, opisywali to przecież — nie w jakichś bezosobowych reklamówkach — ale w przesyłanych przez Telpor listach, których sporządzone przez Korporację Wideofon kopie każdy mógł przeczytać na tablicy ogłoszeń przed wieżowcem.

— Lecz jeśli nam się nie spodoba — Rum najwyraźniej nie mogła wyzbyć się zastrzeżeń — nie będziemy mieli możliwości powrotu. To wszystko jest takie dziwne. Te urządzenia teleportujące... działające tylko w jedną stronę.

— Przecież wiesz — powiedział cierpliwie. — Jest to efekt rozpraszania materii. Gromady galaktyk, cały wszechświat — wszystko eksploduje, rozszerza się. Telpor przekształca cząsteczki twego ciała w dostosowaną do tego procesu wiązkę energii...

— Nie rozumiem — przerwała mu Ruth. — Rozumiem natomiast to — wyciągnęła z torebki niewielką ulotkę.

Przebiegłszy wzrokiem parę rzędów liter, McElhatten zaklął.

— Wywrotowcy. Nie wierz temu, Ruth, to wytwór nienawiści.

— Zmiał kartkę w dłoni.

— W ich nazwie nie ma niczego nienawistnego. „Przyjaciele Zjednoczonych Ludzi”. To mała grupa zmartwionych, pełnych poświęcenia ludzi, przeciwnych temu. . .

— Dobrze wiem, czemu są przeciwni — powiedział McElhatten.

— Kilku z nich pracowało w Krino. Uważają, że my, Ziemianie, powinniśmy pozostać w Układzie Słonecznym. Trzymać się razem. Posłuchaj. . . — Wrzucił ulotkę do kosza. — Historia człowieka przypomina jedną wielką migrację. Ta dzisiejsza sięgnęła Paszczy Wieloryba. Tak daleko jeszcze się nie zapuszczaliśmy; dwadzieścia cztery lata świetlne! Powinniśmy być dumni. — Zawsze jednak znajdzie się paru idiotów i wywrotowców pragnących zatrzymać bieg historii. Oto na ich oczach rodzi się historia, a on chce stać się jej częścią.

Najpierw była Nowa Anglia, później Australia, Alaska, nieudane próby na Księżycu, Marsie i Wenus, i oto teraz sukces. Nareszcie. Jeśli będzie zbyt długo zwlekać, to stanie się za stary, a bezpieczne tereny zostaną rozdzielone wśród napływających ciągle kolonistów. Rząd kolonii może w pewnej chwili wstrzymać rozdział ziemi; przecież każdego dnia przybywali nowi chętni. Biura Szlaków Hoffmana pękały w szwach.

— Czy chcesz, żebym wyruszył? — zapytał Ruth. — Pojadę pierwszy i przysię ci wiadomość, gdy tylko dostanę ziemię i będę gotowy do budowy. A ty wtedy dołączysz do mnie z dziećmi. Dobrze?

— Nienawidzę zostawać bez ciebie. — Była wyraźnie zdenerwowana. — Myślę — powiedziała po chwili — że powinniśmy teleportować się razem, jeśli w ogóle mamy to zrobić. Ale te listy. . . przecież to tylko impulsy energii.

— No to co. Tak samo działa wideofon, telefon, telegraf czy telewizja. I to już od stu lat.

— A skąd masz pewność, że na Ziemię docierają prawdziwe listy?

— Stałaś się podejrzliwa — zauważył kpiąco.

— Możliwe — przyznała Ruth. Cóż mogła na to poradzić, że przenikał ją strach. Głęboki, nieodparty strach przed podróżą, z której nie było powrotu. Chyba żeby, pomyślała, liczyć na ten statek mający dotrzeć do Fomalhauta za osiemnaście lat.

Wzięła do ręki popołudniową gazetę i przeczytała ironiczny artykuł poświęcony lotowi „Omphalosa”. Statek mógł zabrać pięciuset pasażerów, lecz w tym rejsie na pokładzie będzie tylko jeden człowiek — właściciel jednostki. Według dziennika, zasadniczym motywem jego postępowania było pragnienie ucieczki przed wierzycielami.

Może i tak, pomyślała sobie Ruth. Tyle tylko, że on będzie mógł wrócić z Paszczy Wieloryba.

Nie wiedzieć czemu, zazdrościła temu człowiekowi. Gdyby tak można było zabrać się z nim na Paszczę Wieloryba, poprosić go. . .

Jack powiedział cicho: — Jeśli się nie zdecydujesz, Ruth, pojadę sam. Nie

mam zamiaru siedzieć dłużej za pulpitem kontrolnym i czuć na karku podmuch gołębich skrzydeł.

Westchnęła ciężko. Przeszła do kuchni, z której korzystali wspólnie z Shortami, sąsiadami z prawej, by poszukać resztek miesięcznego przydziału syntetycznej kawy.

Puszka była pusta. Zrezygnowana nastawiła wodę na herbatę. W tym czasie przez kuchnię przewinęli się hałaśliwi Shortowie. Zalała wrzątkiem odrobinę proszku i wróciła do mieszkania. Mąż z dziećmi siedział w salonie przed telewizorem. Wszyscy w skupieniu oglądali wieczorny program z Paszczy Wieloryba. Nowy świat przyciągał ich z nieodpartą siłą.

Chyba ma rację, pomyślała. Lecz w głębi duszy nadal odczuwała instynktowny niepokój. Nie potrafiła określić jego przyczyny, a jednak uczucie to bez reszty zaważnęło jej świadomością. Jeszcze raz przyszedł jej na myśl Rachmael ben Applebaum. Według gazet wyruszał w podróż pozbawiony podstawowego wyposażenia anabiotycznego. Co prawda próbował je zdobyć, lecz doznał porażki, co, sądząc z tonu prasowych komentarzy, niezmiernie ucieszyło ich autorów. Człowiek ten był niewiele znaczącym pionkiem, nie miał kredytu ani oszczędności. Biedak, pomyślała ze współczuciem. Będzie samotny i przytomny przez całe osiemnaście lat. Czy firma produkująca sprzęt anabiotyczny nie mogłaby podarować mu brakujących elementów?

Głos z telewizora natarczywie wwiercał się w uszy.

— Pamiętajcie ludzie o Starej Matce Hubbard, Starej Kobiecie z Ziemi. Macie tak dużo dzieci. Pomyślcie, co zrobić, by zapewnić im przyszłość.

Emigrować, bez entuzjazmu postanowiła Ruth. I to szybko.

V

Z ciemności wyłonił się ogromny kadłub. Malutki skrzydłowiec Rachmaela ben Applebauma przywarł do niego z lekkim wstrząsem i natychmiast przystąpiły do akcji automatyczne urządzenia śluzy. Słychać było, jak wewnętrzne grodzie zatrzymują się z trzaskiem, a zaraz potem pokrywa doku odsunęła się na boki, wypuszczając w kosmos resztki powietrza. Skrzydłowiec został umieszczony na stanowisku parkingowym, pokrywa wróciła na miejsce i do wnętrza śluzy na powrót zaczęło napływać powietrze. Wreszcie na tablicy kontrolnej zapłonęło zielone światło. Wszystko w porządku. Droga w głąb statku była wolna.

Opuścił ciasne wnętrze wynajętego skrzydłowca. Znajdował się na „Omphalosisie”, krążącym wokół Marsa po stacjonarnej orbicie w odległości 0,003 jednostki

astronomicznej. Zgodnie z tym, co mu przekazał Dosker, nie włożył skafandra czy choćby maski tlenowej. Minał szereg grodzi powietrznych, a za ostatnią czekał na niego pilot KANT-u z pistoletem laserowym w dłoni.

Dosker przyjrzał się mu uważnie i powiedział:

— Pomyślałem sobie, że możesz być duplikatem nasłanym przez Szlaki. Na szczęście badania EEG i EKG wykluczają tę ewentualność. — Wyciągnął do Rachmaela rękę, wymienili uściski. — Więc jednak zdecydowałeś się lecieć nawet bez sprzętu anabiotycznego. Myślisz, że po osiemnastu latach będziesz jeszcze normalny? Ja bym chyba nie był. — Jego ciemną, ostro zarysowaną twarz przepełniało współczucie. — Nie mogłeś kogoś namówić, żeby ci towarzyszył? Jeszcze jedna osoba nie zrobi żadnej różnicy, zwłaszcza jeśli taka dziewczyna. . .

— I ciągle się z nią kłócić? — zaproponował Rachmael. — Przecież to mogłoby doprowadzić do zbrodni. Zabieram ze sobą całą masę kaset edukacyjnych. Do czasu, gdy dotrę do Fomalhauta, będę znać antyczną grekę, łacinę, rosyjski i włoski. Będę czytać średniowieczne teksty alchemiczne i chińską klasykę z szóstego wieku, w oryginale oczywiście. — Uśmiechnął się pustym, lodowatym uśmiechem; nie mógł nim zwieść Doskera, który dobrze wiedział, co to znaczy wyruszyć w międzygwiazdny przelot bez anabiozy. Leciał kiedyś trzy lata do Proximy i to mu zupełnie wystarczyło. Nie chciał ruszyć z powrotem, dopóki nie dostał odpowiedniego wyposażenia.

— Co mnie najbardziej złości — podjął po chwili Rachmael — to fakt, że Szlaki Hoffmana zabrały się za czarny rynek. Kto by pomyślał, że wykupią cały towar pochodzący z nielegalnych źródeł. — Wiedział jednak, że prawdziwa szansa została zaprzepaszczona wtedy w restauracji. Sprzęt wartości pięciu tysięcy posredów znajdował się w zasięgu ręki. Zmarnował okazję i teraz ponosi tego skutki.

— Chcę, żebyś o czymś wiedział — wolno rzekł Dosker. — Otóż jeden z doświadczonych agentów KANT-u uda się na tamtą | stronę, korzystając z usług normalnej placówki Telporu, jak pierwszy z brzegu przeciętny Ziemianin. W zależności od rozwoju wypadków może się więc zdarzyć, że w przyszłym tygodniu nawiążemy łączność z „Omphalosem”; wtedy jeszcze będziesz mógł zawrócić. Może uda nam się zaoszczędzić twoje osiemnaście lat w jedną i — o czym zapewne teraz nie myślisz — osiemnaście w drugą stronę.

— Nie jestem pewien — odparł Rachmael — czy po wylądowaniu na Paszczy Wieloryba zdołam jeszcze powrócić. — Właściwie to nie miał żadnych złudzeń; po locie do Fomalhauta może być fizycznie niezdolny do dalszej podróży. Niezależnie od warunków, jakie będą panowały w kolonii, pozostanie w niej, gdyż nie będzie miał innego wyjścia. Ciało ludzkie ma swoje prawa. Dusza zresztą też.

Teraz mieli już więcej punktów zaczepienia. Do nieudanego eksperymentu z wysłaniem kapsuły czasowej, o czym dziwnie szybko zapomniały środki masowego przekazu, dołączyły nowe fakty. Oto na jak najbardziej legalny wniosek

Matsona Glazer-Hollidaya dotyczący ponownego uruchomienia krążącego na orbicie satelity „Księżę Albert B-y”, Korporacja Wideofon Wes-Dem odpowiedziała odmownie. Krótko i zdecydowanie. Rachmael pomyślał, że już samo to zajęcie powinno mocno zaniepokoić trzeźwo myślących ludzi.

Było tylko jedno ale. Po prostu ludzie nic o tym nie wiedzieli. Środki masowego przekazu zapomniały poinformować społeczeństwo o takiej drobnostce.

Co prawda Matson postarał się, aby wiadomość o tym dotarła do działaczy małej, wojowniczo nastawionej organizacji antyemigracyjnej noszącej nazwę „Przyjaciele Zjednoczonych Ludzi”. W jej skład wchodził przede wszystkim wystraszeni, konserwatywnie myślący starsi ludzie, których niechęć do korzystania z usług Telporu wypływała głównie z neurotycznych przesłanek. Najważniejsze było jednak to, że zajmowali się także drukiem ulotek. Dzięki temu informacja o postawie Korporacji Wideofon szybko została zamieszczona w ich biuletynie o zasięgu światowym.

Rachmael nie wiedział, ilu ludzi zetknęło się w ten sposób z prawdą. Intuicja podpowiadała mu, że raczej niewielu. Emigracja w każdym razie kwitła w najlepsze.

Coraz więcej śladów prowadziło do jaskini lwa, a ciągle jeszcze żaden trop nie wychodził na zewnątrz.

— W porządku — powiedział Dosker. — Teraz już oficjalnie i formalnie przekazuję ci „Omphalosa”. Jest w doskonałym stanie. Wygląda na to, że nie musisz się o niego martwić. — Ciemne oczy pilota błyszcząły. — Coś ci powiem, ben Applebaum. W ciągu osiemnastu lat czuwania możesz znaleźć pewną rozrywkę w tym, co ja robiłem przez ostatni tydzień. — Podniósł ze stołu oprawną w skórę księgę. — Zaczynaj prowadzić dziennik.

— Jaki dziennik?

— Dziennik stanu swej duszy. Z pewnością zainteresuje on psychiatrów.

— Więc nawet ty uważasz...

— Decydując się na lot bez aparatury spowalniającej metabolizm organizmu, popełniasz straszny błąd. Może rzeczywiście dziennik do niczego nie będzie ci potrzebny, może już teraz coś się z tobą porobiło.

Rachmael bez słowa odprowadził wzrokiem znikającą w śluzie gibką postać. Po chwili Dosker siedział już w wynajętym skrzydłowcu. Szczęknęły zamki luku; zapłonęło czerwone światło, oznajmiając, że oto pozostał sam na pokładzie wielkiego liniowca. Nie mógł oprzeć się myśli, że może tak już będzie przez osiemnaście lat. Czyżby Dosker miał jednak rację?

Nawet jeśli tak było, on nadal pragnął odbyć tę podróż.

O trzeciej nad ranem Matson Glazer-Holliday został obudzony przez jednego z obsługujących willę automatycznych kamerdynerów.

— Mój panie, wiadomość od pana Bergena Phillipsa. Z kolonii. Nadeszła przed chwilą, a ponieważ prosił pan...

— Tak. — Matson usiadł, ściągnając bezwiednie prześcieradło ze śpiącej Frei; schwycił szlafrok, odszukał kapcie. — No pokaż, co tam masz.

Na wąskim pasku papieru widniały dwa rzędy wystukanych na maszynie wyrazów. Zwykła depesza dostarczona przez Korporację Wideofon. Jej tekst brzmiał:

KUPIŁEM PIERWSZE DRZEWKO POMARAŃCZY. ZAPOWIADA SIĘ DOBRY ZBIÓR. CZEKAMY Z MOLLY NA TWOJE PRZYBYCIE.

Freya zbudziła się i uniosła na łóżku. Ramiączko przejrzystej nocnej koszuli opadło, odsłaniając blade, nagie ramię. — Co się stało? — zapytała niezbyt przytomnie.

— Pierwsza zakodowana wiadomość od Bergena Philipsa — powiedział Matson, w zamyśleniu uderzając o kolano złożoną depeszą.

Usiadła w pełni rozbudzona i sięgnęła po leżącą na stoliku paczkę beringów.

— Co w niej jest, Mat?

— No cóż, otrzymaliśmy tekst wersji szóstej.

— Czyli sprawy mają się dokładnie tak, jak przedstawiają to środki masowego przekazu. — Przypatrywała mu się w napięciu poprzez papierosowy dym.

— Tak. Tyle tylko, że psycholodzy Szlaków zajmujący się kontrolą imigrantów mogli przechwycić naszego człowieka. W takim przypadku wyciągnęliby z niego wszystko i wysłali do nas uspokajającą wiadomość; taką jak ta. Dlatego też nie ma ona dla nas żadnej wartości. Co innego, gdybyśmy otrzymali któryś z wariantów nieparzystych, sygnalizujących, że w większym czy mniejszym stopniu sytuacja odbiega od lansowanej przez Szlaki normy. Taka depesza byłaby bardziej wiarygodna, gdyż nikt z władz kolonii nie jest zainteresowany wysyłaniem niekorzystnych dla siebie danych.

— Tak więc — podsumowała Freya — wiesz, że nic nie wiesz.

— Poczekamy. Może uda mu się uruchomić „Księcia Alberta B-y”. — Tydzień to niedługo. Po takim czasie z łatwością będzie można skontaktować się z „Omphalosem”. A ponieważ prowadzący go pilot nie podda się anabiozie, dowie się o wszystkim. — Jeśli po tygodniu satelita się nie odezwie — głośno myślał Matson — to nadal niczego nie dowodzi. Wtedy Bergen prześle wiadomość n, oznaczającą brak reakcji satelity na sygnał wywoławczy. Oni zrobią to samo, jeśli Bergen dostał się w ich ręce. Jak więc widzisz, ciągle nic! — Przeszedł się po sypialni, zbliżył do wymiętego łóżka i wziął od dziewczyny papierosa. Zaciągnął się gwałtownie, dopóki rozżarzony tytoń nie sparzył mu palców. — Nie przeżyje osiemnastu lat. — Uświadomił sobie, że w ten sposób nigdy nie pozna prawdy o Paszczy Wieloryba. Zbyt długo trzeba czekać.

— Będziesz miał wtedy siedemdziesiąt dziewięć lat — praktycznie zauważyła Freya. — Zapewne jeszcze będziesz żył, tyle tylko, że w środku poupychają ci masę sztucznych organów.

Nie jestem na tyle cierpliwy, pomyślał Matson. Przecież w tym czasie niemowlę zmieni się w dorosłego człowieka!

Freya odzyskała papierosa, lecz skrzywiła się, gdy poczuła jego temperaturę.

— No cóż, spróbuj może wysłać. . .

— Sam się wyślę — odparł Matson.

Popatrzyła na niego bez słowa, a po chwili wyszeptała: — O dobry Boże.

— Nie wyruszę oczywiście w pojedynkę. Zabiorę ze sobą „rodzinę”. W każdej placówce Szlaków Hoffmana zjawi się niewielka grupa szturmowa KANT-u. — Miał ich ponad dwa tysiące, najlepsi z najlepszych, a wśród nich wielu weteranów ostatniej wojny. Wszyscy przeprowadzą się na Paszczę Wieloryba równocześnie z nim, a na miejscu jak najszybciej odszukają się i połączą. W bagażu podręcznym spróbują przemyścić tyle aparatury elektronicznej, aby z jej pomocą odbudować prywatną agencję wywiadowczą.

— Zastąpisz mnie tu na Ziemi, dopóki nie wrócę — polecił Frei. Czyli w najlepszym wypadku za trzydzieści sześć lat, pomyślał cierpko. Nie mógł jakoś wyobrazić sobie w roli dziewięćdziesięciosiedmioletniego starca. Chyba żeby. . . no tak. istniała szansa zdobycia sprzętu anabiotycznego tam, na miejscu. Pamiętał tajne transporty kierowane na Paszczę Wieloryba. To właśnie dlatego tak trudno było znaleźć niezbędne wyposażenie na Ziemi. Autorzy projektu kolonizacji pragnęli w ten sposób zagwarantować sobie możliwość odwrotu. Gdyby zagospodarowanie Paszczy Wieloryba napotkało na nieprzewidziane trudności, ewakuwaliby wówczas kolonistów z powrotem do Układu Słonecznego w wielkich liniowcach złożonych z elementów przesłanych za pośrednictwem Telporu.

— Pierwszorzędne posunięcie — powiedziała Freya. — Przecież to prawdziwy zamach stanu.

Zaprotestował zdumiony.

— Co takiego? Na Boga, nie, nigdy nie chciałem. . .

— Jeśli zabierzesz ze sobą dwa tysiące najlepszych ludzi — tłumaczyła Freya — zjednoczenie KANT właściwie przestanie działać na Ziemi; będzie zaledwie cieniem samego siebie. Za to po drugiej stronie pojawi się potężna siła. Pamiętaj, że ONZ nie ma swoich wojsk na Paszczy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kto zdoła ci się przeciwstawić? Zastanówmy się. Prezydent kolonii, Omar Jones, za dwa lata będzie musiał wystąpić o reelekcję. Zapewne zechcesz poczekać. . .

— Na pierwszy sygnał z Paszczy Wieloryba — powiedział ochryple Matson. — Omar Jones otrzyma ONZ-owskie posiłki. Ich oddziały zaczną wysypywać się z każdego Telporu. I będą mieli ze sobą broń taktyczną, wszystko, łącznie z pociskami cefalotropicznymi. — Widać było, że nienawidzi i boi się tej broni.

— Tak, o ile taki sygnał nadejdzie. Ufam, że gdy tylko znajdziesz się po drugiej stronie, poradzisz sobie z tym problemem. Możesz nawet uzyskać pewność, że żaden sygnał alarmowy nie zostanie nadany z Paszczy Wieloryba. Czyż nie o tym właśnie rozmawiamy przez cały czas? Czyż nie dlatego kupiłeś pomysł

Rachmaela, że dostrzegłeś możliwość manipulowania przepływem informacji? — Czekala na odpowiedź, paląc w milczeniu i przypatrując mu się z kobiecą, pełną napięcia czujnością.

— Tak — powiedział w końcu zduszonym głosem. — Moglibyśmy to zrobić. Psycholodzy Szlaków, choćby nawet uzbrojeni, są przygotowani na pojedyncze przypadki infiltracji. Wobec dwóch tysięcy wytrenowanych policjantów będą bezradni. Prawdopodobnie w ciągu pół godziny udałoby się nam przejść kontrolę. Chyba że Horst Bertold w jakiś nie zauważony przez nas sposób przemycił jednak swoje oddziały. — Tylko po co miałyby to robić, pomyślał Matson. Dotychczas nie było tam żadnego przeciwnika; cóż bowiem mogło grozić ze strony zdezorientowanych emigrantów, których jedynym pragnieniem było znalezienie pracy, domu i zapuszczenie korzeni w nowym świecie, skąd nie ma powrotu.

— Pamiętaj też o tym — podjęła Freya po chwili, naciągając koszulę na nieco piegowate ramię — że samo urządzenie odbierające systemu teleportującego nie może być wysyłane drogą teleportacji. Każda, nawet najdrobniejsza jego część, musi odbyć podróż na pokładzie zwykłego statku hiperprzestrzennego, co pociąga za sobą konieczność wieloletniego oczekiwania na dostawy. Dlatego też możesz z łatwością powstrzymać ONZ i Bertolda. Wystarczy, jeśli w chwili gdy zaczną coś podejrzewać, unieruchomisz wszystkie stacje odbiorcze Telporu.

— Tak, jeśli tylko zdołam poruszać się dostatecznie szybko.

— Jestem pewna, że świetnie sobie z tym poradzisz. Przecież zabierasz najlepszych ludzi i sprzęt... no chyba że... — przerwała i zwilżyła językiem wargi. Wyglądało to tak, jakby rozważała jakiś czysto akademicki problem.

— Chyba że co, do cholery? — zapytał poirytowany.

— Ty i twoi agenci możecie zostać rozpoznani, gdy zgłosicie się do ziemskiej stacji Telporu, a wówczas ci po drugiej stronie przygotowują się na wasze przyjęcie. Dostrzegam teraz wyraźnie taką ewentualność. — Roześmiała się wesoło. — Płacisz za bilet, uśmiechasz się do miłych, łysych i budzących koszmarnie skojarzenia niemieckich techników z obsługi, potem stajesz na płycie, a twoje ciało poddawane jest działaniu pola teleportującego... stoisz tam sobie niewinnie i powoli się rozptywasz, a o dwadzieścia cztery lata świetlne dalej w takim samym tempie pojawiają się twoje zarysy... a więc zaczynasz nabierać materialnych kształtów na Paszczy Wieloryba, lecz nim proces dobiegnie końca, nim zdążysz się w pełni uformować, zginiesz pora żony promieniem lasera. Teleportacja trwa pełnych piętnaście minut. Przez te piętnaście minut, Mat, będziesz bezsilny, na wpół zmaterializowany tak po jednej, jak i po drugiej stronie. To samo będzie się j działało z twoimi ludźmi. I całym ich wyposażeniem. Wpatrywał się w nią zaskoczony.

— Zdaje się — powiedziała Freya — że to się nazywa *hubris*.

— A cóż to takiego?

— W języku starożytnych Greków słowo to oznaczało pychę, chęć sięgnięcia po więcej, niż przyznali ci bogowie. Może bogowie nie życzą sobie, byś przej-

mował kontrolę nad Paszczą Wieloryba, Matty, kochanie. Może nie chcą, żebyś porywał się na sprawy dla ciebie zbyt wielkie.

— Do diabła, i tak muszę przecież dostać się na drugą stronę.

— Jasne, dlaczego więc przy okazji nie przejąć kontroli? Odstawić na bok jowialnego i ckliwego Omara Jonesa. . . — Zgniotła w popielniczce niedopałek papierosa. — Tak czy inaczej, będziesz zmuszony tam pozostać; dlaczegoż miałbyś przystać na normalne życie wśród najzwyczajniejszych pod słońcem *hoi polloi*? Pomyśl tylko. . . tutaj jesteś co prawda silny, ale Horst Bertold i jego ONZ, wspierane ekonomicznie przez Szlaki Hoffmana, są silniejsi. Tam. . . — Wzruszyła ramionami, jakby dziwiąc się ludzkim aspiracjom — lub ludzkiej próżności. Było oczywiste, że tam sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej.

Z każdą chwilą nabierał przekonania, że nikt nie będzie w stanie stawić mu czoła, jeśli tylko uda mu się jednym, nagłym skokiem przerzucić na Paszczę Wieloryba całe towarzystwo wraz ze sprzętem i to jak na ironię przy pomocy oficjalnych placówek Szlaków Hoffmana. Uśmiechnął się; bawiła go myśl, że Szlaki dokończą wszelkich starań, by wraz z ludźmi przeteleportować go do kolonii.

— A później, w 2032 — ponownie odezwała się Freya — gdy zapewne brudny i brodaty, mamroczący niezrozumiale Rachmael ben Applebaum pojawi się wraz ze swym wielkim „Omphalosem”, odkryje na miejscu piekło, co zresztą będzie zgodne z jego oczekiwaniami. . . tyle tylko, że to ty będziesz tym wszystkim kręcić. I jeśli chodzi o mnie, to jestem gotowa założyć się, że fakt ten wprawi go w najwyższe zdumienie.

Rozdrażniony Matson powiedział: — Nie mogę dłużej o tym myśleć. Idę spać. — Zdjął szlafrok i kapcie, po czym o ciężale zwałił się na łóżko. Czuł się przytłoczony brzemieniem przeżytych lat. Czy nie był zbyt stary, by zabierać się do czegoś takiego? Nie chodziło mu o łóżko, co to, to nie, nie był za stary, by dzielić je z Freją Holm; przynajmniej jeszcze nie teraz. Znacznie bardziej niepokoiła go propozycja dziewczyny, która bezbłędnie, możliwe nawet, że na poziomie telepatycznym, rozszyfrowała jego podświadomość. Tak, to wszystko była prawda.

Już od pierwszej wideorozmowy z Rachmaelem, gdzieś na progu procesów myślowych, zaczął prześladować go ten pomysł.

I to właśnie była prawdziwa przyczyna, dla której pomagał — czy raczej usiłował pomóc — zgnębionemu, prześladowanemu przez wierzyielskie balony Rachmaelowi ben Applebaumowi.

Zgodnie z przekazywanymi przez infomedia danymi, na Paszczy Wieloryba istniała tak zwana armia krajowa, złożona z trzystu ochotników. Było to coś w rodzaju straży mającej zapobiegać zamieszkom. Trzystu! A wśród nich żadnego doświadczonego zawodowca. Według reklam była to sielankowa kraina pełna wszelkiego dobra. Skoro zaś wszystkiego wystarczało dla wszystkich, to do czego była potrzebna armia? Czegóż ubodzy mieli zazdrościć bogatym? I jaki był sens w zagarnianiu czegokolwiek siłą?

Ja wiem, odpowiedział sobie w myśli Matson Glazer-Holliday. Ubodzy znajdują się po tej stronie. To ja i moi pracownicy. Od wielu lat jesteśmy coraz bardziej przytłaczani przez prawdziwych olbrzymów, przez ONZ i Szlaki Hoffmana i . . .

Bogaci byli o dwadzieścia cztery lata świetlne stąd, na dziewiątej planecie Fomalhauta.

Panie ben Applebaum, pomyślał, leżąc na wznak u boku Frei, bardzo się pan zdziwił po przylocie na Paszczę Wieloryba.

Żałował tylko, że on sam — a jakiś wewnętrzny głos podtrzymywał w nim tę pewność — nie dożyje chwili lądowania. Dlaczego miało się tak stać, tego jego parapsioniczna intuicja nie była w stanie powiedzieć.

Tuż obok Freya zamruczała przez sen i odprężona, przysunęła się i bliżej.

Natomiast on leżał z otwartymi oczami, zapatrzony w czarną nicość. Zmagał się z nowymi, płynącymi opornie myślami, napawając się uczuciem, jakiego nie doświadczył nigdy dotąd.

VI

Obserwacyjny satelita „Księżę Albert B-y” nadał mocno rozmazany, pierwszy sygnał wizyjny. Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat teleskopy uchwyciły obraz leżącej w dole powierzchni. Niektóre elementy nieczynnej przez długi czas sieci zminiaturyzowanych układów doznały uszkodzeń, jednak zasadniczy system zasilający pozostał na tyle sprawny, że mógł wysłać w kierunku odległego o dwadzieścia cztery lata świetlne Układu Słonecznego spójny sygnał.

Tymczasem na powierzchni Fomalhauta IX rozwarła się niewielka szczelina i po krótkiej, uchwytnej tylko dla najczulszych przyrządów przerwie, wzbil się w niebo pocisk typu ziemia-powietrze. Rakieta bezbłędnie dotarła do celu — pracującego zgrzytliwie, przypominającego kształtem marchew satelity, który dotychczas głuchy i ślepy, spokojnie krążył po swojej orbicie, gdyż nikomu nie zagrażał. Dotychczas.

Głowica eksplodowała, kładąc kres istnieniu „Księcia Alberta B-y”. Wybuch nastąpił w całkowitej ciszy, ponieważ na tej wysokości nie było już atmosfery mogącej przenieść towarzyszący temu zjawisku łoskot.

W tym samym czasie na dole, wewnątrz potężnego nadajnika zaczęły wirować z ogromną prędkością bębny z taśmą magnetyczną. Sygnał po przejściu przez szereg doskonałych wzmacniaczy osiągnął poziom emisji i został wysłany w przestrzeń. Tak się dziwnie złożyło, że jego częstotliwość odpowiadała parametrom przekazu z nie istniejącego już satelity.

Wysłane z dwóch różnych źródeł fale dotrą do miejsca przeznaczenia w postaci nic nie znaczącego szumu. Zadowoleni z siebie technicy obsługujący nadajnik przełączyli go na zwykły zakres i przystąpili do codziennej pracy.

Celowo rozstrojony przekaz mknął przez pustkę w stronę Układu Słonecznego, niosąc oczekującej go planecie jedynie kakofonię pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia dźwięków.

Natomiast satelita, rozbity na cząsteczki wybuchem głowicy, nigdy już nie wysłał żadnego sygnału. „Książę Albert B-y” zakończył swój żywot.

Całe zajście od uruchomienia satelity do zagłuszającej transmisji ze znacznie silniejszego nadajnika na powierzchni planety trwało zaledwie pięć minut — w tym także lot i eksplozja pocisku uderzającego w skomplikowany, bezcenny cel, którego nigdy już się nie da odtworzyć.

Odnosnie do tego celu pewne kręgi dawno już doszły do porozumienia, że w razie potrzeby trzeba go bezzwłocznie poświęcić. Taka potrzeba właśnie zaistniała i dlatego satelita zmienił się w obłok gazu.

W miejscu, z którego wystrzelono raketę, pełniący służbę żołnierz w garnkowanym hełmie niespiesznie podczepił do wyrzutni drugi pocisk, przyłączył wszystkie przewody do pulpitu sterującego, upewnił się, że główny włącznik jest na powrót zamknięty, po czym on także oddał się rutynowym czynnościom dnia.

Wszystko to trwało nie dłużej niż sześć minut. Dziewiąta planeta Fomalhauta kontynuowała swój obrót.

Pograżona w myślach Freya Holm siedziała wygodnie rozparta w skórzanym fotelu luksusowego skrzydłowca, gdy nieoczekiwanie rozległ się mechaniczny głos układu fonicznego statku.

— Proszę pana lub pani, proszę o wybaczenie, lecz uszkodzenie metabaterii zmusza mnie do niezwłocznego lądowania celem dokonania naprawy. Proszę o wyrażenie ustnej zgody, w przeciwnym razie statek ulegnie rozbiciu.

Patrząc w dół, spostrzegła mierzące w niebo iglice Nowego Nowego Jorku otaczające pierścieniem wieżowce starego centrum Nowego Jorku. Komputer skrzydłowca miał rację. Było już za późno na jakiegokolwiek działanie; jeśli rzeczywiście doszło do awarii metabaterii, jedyne źródło energii pojazdu, trzeba było natychmiast lądować na najbliższej stacji naprawy. Dłuższy lot bez napędu był równoznaczny ze śmiercią na skutek zderzenia z którymś z biurowców.

— Tak — powiedziała zrezygnowana i westchnęła. Co za dzień.

— Dziękuję panu lub pani. — Wibrując lekko, skrzydłowiec zaczął opadać w ciasnej spirali, by parę chwil później zetknąć się z bezpiecznym lądowiskiem jednej z nielicznych stacji obsługi Nowego Nowego Jorku.

Gdy tylko pojazd znieruchomiał, pojawił się człowiek w kombinezonie pracownika stacji i jak uprzejmie wyjaśnił, przystąpił do poszukiwania zwarcia, które

musiało być przyczyną rozładowania baterii, sprawnych zwykle przez dwadzieścia lat.

Otwierając drzwi kabiny, mechanik zapytał: — Czy mogę zajrzeć pod pulpit sterowania? Umieszczone tam przewody podlegają szczególnie dużym obciążeniom mechanicznym. Możliwe, że w którymś miejscu doszło do przetarcia izolacji. — Uśmiechnięty Murzyn budził zaufanie, toteż bez wahania usunęła się w kąt kabiny.

Pracownik stacji wślizgnął się natychmiast na zwolniony fotel i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Księżyc i krowa — powiedział pozornie bez związku. W rzeczywistości było to obowiązujące aktualnie hasło identyfikacyjne pracowników KANT-u.

— Jack Horner — wymamrotała zaskoczona Freya. — Kim jesteś? Nigdy przedtem cię nie widziałam. — Człowiek ten nie wyglądał na zwykłego agenta.

— Jestem pilotem hiperprzestrzennym. Nazywam się Al Dosker. Znam cię. Ty jesteś Freya Holm. — Już się nie uśmiechał. Siedział obok niej spokojny i poważny, a jego ręce od niechcienia manipulowały wśród grubych wiązek przewodów. — Posłuchaj, Freya, nie mam czasu na długie rozmowy — powiedział śpiewnie. — Najwyżej jakieś pięć minut. Wiem, gdzie jest to zwarcie, bo to ja wysłałem po ciebie właśnie ten skrzydłowiec. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparła Freya i nieznacznym ruchem zwarła szczęki, naciskając na fałszywy ząb. Krucho powłoka trzasnęła, otwierając językowi dostęp do gorzkawej w smaku plastikowej ampułki — był to mały pojemniczek kwasu pruskiego. Jego ilość wystarczyła, by ją zabić w przypadku, gdyby ten człowiek okazał się wrogiem. Równocześnie sięgnęła też do nadgarstka i wyuczonym, na pozór bezwiednym gestem zaczęła nakręcać zegarek. W rzeczywistości uruchamiała w ten sposób mechanizm powolnej homeostatycznej strzałki o zatrutym cyjankiem ostrzu. Za jej pomocą mogła zgładzić swego rozmówcę lub, gdyby wróg okazał się liczniejszy, odebrać życie sobie, jeśli oczywiście po zażyciu trucizny byłoby to jeszcze potrzebne. Świadoma ostateczności nadchodzącego rozwiązania zamarła w czujnym oczekiwaniu.

— Jesteś kochanką Matsona — ciągnął Murzyn. — Masz z nim kontakt o każdej porze; to dlatego właśnie ściągnąłem cię tutaj. Dziś o szóstej wieczorem, według czasu Nowego Nowego Jorku, Matson Glazer-Holliday przybędzie do jednego z punktów usługowych Szlaków Hoffmana; zaopatrzonej w dwie wypchane walizy poprosi o zezwolenie na emigrację. W zależności od wagi bagażu zapłaci sześć lub siedem posredów i przeteleportuje się na Paszczę Wieloryba. A w tym samym czasie do rozsianych po całej Ziemi placówek Telporu zgłosi się około dwóch tysięcy najlepszych, najbardziej doświadczonych jego agentów, by podążyć w ślady szefa.

Siedziała w milczeniu, wpatrzona w jakiś punkt przed sobą. Leżący w jej torebce magnetofon zapisywał każde słowo, choć Bóg jeden wie do czego w obecnej

sytuacji mogłoby się to przydać.

— Po drugiej stronie, wykorzystując ludzi i sprzęt zmontowany z przemycanych w bagażu osobistym podzespołów, przeprowadzi zamach stanu. Przerwie emigrację, unieruchomi wszystkie Telpory, obali prezydenta Omara Jonesa.

— I co z tego? — zapytała. — Po co mi to mówisz, skoro dobrze wiem o wszystkim?

— Nie wiesz tylko — usłyszała w odpowiedzi — że na dwie godziny przed rozpoczęciem akcji złożę wizytę Horstowi Bertoldowi. Jak zwykle o czwartej przyjmować będzie petentów. — W ochrypłym głosie Doskera zabrzmiały lodowate nutki. — Jestem co prawda pracownikiem KANT-u, lecz tym razem nie popieram organizacji i nie wezmę udziału w takiej zagrywce. Tu, na Ziemi, Matson Glazer-Holliday znajduje się na właściwym sobie miejscu: jest trzeci na liście potentatów. Na Paszczy Wieloryba. . .

— Co więc mam robić do czwartej? To przecież jeszcze siedem godzin.

— Poinformuj Matsona, że gdy on i dwa tysiące jego najlepszych agentów pojawią się w biurach Szlaków Hoffmana, zamiast teleportacji czekać ich będzie areszt, a potem śmierć; zapewne bezbolesna. Niemcy lubią czystą robotę.

— A więc to tak? Chcesz, żeby Matson zginął, a oni, ci. . . — Zamachała gwałtownie rękami, zaciskając dłonie w bezsilnej wściekłości. — Bertold, Ferry i von Einem będą mogli rozwijać swój polityczno-ekonomiczny biznes bez żadnych przeszkód ze strony. . .

— Nie chcę, żeby próbował.

— Posłuchaj — zaatakowała Freya. — Przedsięwzięcie, które chce przeprowadzić Matson na Paszczy Wieloryba, opiera się na założeniu, że jedyną siłą zbrojną stanowi tam armia krajowa złożona z trzystu niewyszkolonych ochotników. Nie sądzę, abyś miał powody do obaw; prawdziwy problem polega na tym, że Mat rzeczywiście wierzy w te wszystkie pokazywane w telewizji kłamstwa. W istocie jest to niezwykle prymitywny i naiwny człowiek. Czy naprawdę myślisz, że po drugiej stronie czeka Ziemia Obiecana, chroniona jedynie przez niewielki oddział cywilów, że każdy, kto tam się zjawi z naprawdą znaczącą siłą, wspomagany przez nowoczesną technikę, zdoła przechwycić władzę? Gdyby istotnie tak było, Bertold i Ferry dawno już by z tego skorzystali.

Zdezorientowany Dosker popatrzył na nią z wahaniem.

— Sądzę — podjęła po chwili — że Mat popełnia błąd. Nie dlatego, że jego postępowanie jest amoralne, lecz dlatego, że gdy znajdzie się na miejscu, a wraz z nim cała jego ekipa, będzie musiał stawić czoło. . . — urwała w pół zdania. — Nie wiem. Na pewno nie dojdzie tam do żadnego zamachu stanu. Ktokolwiek rządzi kolonią, wykorzysta Mata do swoich celów, i to mnie najbardziej przeraża. Jasne, że chciałabym go powstrzymać; z radością opowiem mu o tym, jak jeden z jego najbardziej zaufanych ludzi, znający wszystkie szczegóły planowanego przewrotu, zamierza o szesnastej ostrzec władzę. Zrobię wszystko, co w mojej

mocy, Dosker, aby odwieść go od tego zamiaru, uświadomić mu, że pakuje się w pułapkę bez wyjścia. Zarówno moje, jak i twoje pobudki nie muszą. . .

— Jak myślisz, Freya, co jest po drugiej stronie?

— Śmierć.

— Dla wszystkich? — Wpatrywał się w nią niedowierzająco. — Dla czterdziestu milionów? Dlaczego?

— No cóż, dni Gilberta i Sullivana czy Jerome'a Kerna minęły bezpowrotnie. Żyjemy na planecie zamieszkaną przez siedem miliardów ludzi. Paszcza Wieloryba spełniłaby swoją rolę, tyle tylko że zbyt wolno. Dlatego też znaleziono znacznie szybszy sposób. Myślę, że znają go wszystkie czołowe osobistości ONZ, włączając samego Horsta Bertolda.

— Nie. — Twarz Doskera przybrała ziemistoszary odcień. — To się skończyło w 1945 roku.

— Jesteś pewien? Czy zechcesz zatem wyemigrować?

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, a potem, ku jej zaskoczeniu odpowiedział:

— Tak.

— Co? Dlaczego?

— Wyemigruję. Dziś o szóstej według czasu Nowego Nowego Jorku. Zabiorę ze sobą pistolet laserowy. Dopadnę ich, jeśli naprawdę robią to, co mówisz. Nie mogę dłużej czekać.

— Nie zdążysz zrobić żadnego ruchu. Gdy tylko się wynurzysz. . .

— Tak czy inaczej zabiorę ze sobą przynajmniej jednego z nich, choćbym miał go zabić gołymi rękami.

— Jeśli tak, to zacznij tu, na miejscu. Zacznij od Horsta Bertolda.

Po raz kolejny w tak krótkim czasie Dosker poczuł się całkowicie zaskoczony.

— Mamy broń, która. . . — zaczęła Freya, lecz zaraz urwała, gdyż ktoś otworzył drzwi skrzydłowca.

— Znalazłeś zwarcie? — zapytał mechanik w wymiętym kombinezonie.

— Tak — odpowiedział Al Dosker, nie przerywając grzebaniny pod deską rozdzielczą. — Jeszcze tylko podładuję metabaterie, założę końcówki i można będzie startować.

Odpowiedź musiała zadowolić brygadzystę, który bez dalszych pytań oddalił się w stronę wyjścia z warsztatu. Znowu na krótką chwilę zostali sami, lecz tym razem drzwi pozostały otwarte.

— Możesz się mylić — powiedział Dosker. Freya przecząco pokręciła głową.

— To musi wyglądać mniej więcej w ten sposób. Niemożliwe, żeby istniała tam tylko trzypięciorobowa ochotnicza armia. Gdyby tak było, to już dawno Ferry i Bertold lub przynajmniej jeden z nich położyłby na tym wszystkim swoją łapę. Przynajmniej to nie ulega wątpliwości: wiemy dobrze, na co stać tych panów.

Natura nie znosi próżni, Dosker, dlatego też twierdzę, że na Paszczy Wieloryba istnieje jakaś zorganizowana siła.

— Naprawa skończona, proszę pani — krzyknął technik stojący przy najbliższym pulpicie kontrolnym.

Jakby na potwierdzenie tych słów, odezwał się obwód foniczny skrzydłowca: — Teraz czuję się bez porównania lepiej; zawiozę pana lub panią do miejsca przeznaczenia, gdy tylko nadliczbowy osobnik opuści pokład.

Ciałem Doskera wstrząsnęły dreszcze.

— Nie wiem, co robić — powiedział z rozpaczą.

— Nie idź do Ferry’ego ani Bertolda. Zaczynaj od tego. Skinął głową. Widocznie w końcu go przekonała; ta część rozgrywki była skończona.

— Od szóstej Matowi potrzebna będzie wszelka pomoc. Niech tylko pierwszy wywiadowca wylądjuje na Paszczy Wieloryba. Dlaczego nie idziesz z nimi, Dosker? To nic, że jesteś pilotem. Może to właśnie ty zdołasz mu pomóc.

Skrzydłowiec uruchomił silnik i jakby poirytowany, co chwila zmieniał jego obroty.

— Proszę pana lub pani, jeśli życzyście sobie. . .

— A czy ty teleportujesz się razem z innymi?

— Według planu mam być na miejscu już o piątej. Mam za zadanie znaleźć jakieś mieszkanie dla mnie i dla Mata. Będę się nazywać — zapamiętaj sobie, aby potem nas odnaleźć — Silvia Trent. A Mat będzie Stuartem Trentem. Okay?

— Okay — mruknął Dosker. Wyszedł z kabiny i zatrzasnął za sobą drzwi. W tej samej chwili skrzydłowiec zaczął się wznosić.

Freya odprężyła się. Wypluła kapsułkę z kwasem pruskim, chwilę ważyła ją w rękę, po czym wrzuciła do komory asenizacyjnej pojazdu. Na koniec przestała swój „zegarek”.

Wszystko, co powiedziała Doskerowi, było prawdą. Wiedziała o tym — wiedziała i nie mogła nic zrobić, by zmienić plany Matsona. Tam po drugiej stronie będą na nich czekać zawodowcy, którzy, jeśli nawet przypadkiem nie wykryto spisku, jeśli nie było przecieku informacji i nikt nie dopatrzy się związku pomiędzy dwoma tysiącami mężczyzn zgłaszających się do rozsianych po całym świecie placówek Telporu — nawet w takich okolicznościach zdołają powstrzymać Mata. Był zbyt słaby, a oni to wykorzystają.

Ale Mat w to nie wierzył. Dostrzegł bowiem możliwość stania się potęgą. Zatruta żądzą władzy strzała ugodziła go głęboko i teraz z rany nieustannie sączyło się przemożne pragnienie. Bo gdybyż to była prawda; gdyby w kolonii istniała tylko trzystuosobowa armia. Gdyby. Nadzieja i zrodzone z niej możliwości pochłonęły go bez reszty.

Tak, pomyślała sobie, gdy skrzydłowiec kierował się w stronę nowonowojskiego biura KANT-u, a dzieci znajduje się w zagonach kapusty.

Jasne, Mat, wierz sobie dalej.

VII

Matson Glazer-Holliday podszedł do miłej, obdarzonej nadmiernie rozwiniętym biustem recepcjonistki i powiedział:

— Nazywam się Stuart Trent. Moja żona przeteleportowała się dzisiaj o piątej, mnie jednak obowiązki zatrzymały dłużej. Bardzo się spieszyłem, żeby zdążyć przed zamknięciem waszego biura.

Popatrzyła na niego badawczo, jakby chciała oszacować stojącego przed nią łysego mężczyznę o nobliwych rysach, w którego spojrzeniu kryła się niema prośba.

— Czy jest pan pewien, panie Trent, że naprawdę pragnie pan. . .

— Moja żona — powtórzył ochryple — chcę jak najszybciej ją zobaczyć. — Po chwili zaś dodał: — Mam tylko dwie walizki. Tragarz zaraz je przyniesie. — Jakby na potwierdzenie tych słów, drzwi się otwały i do wnętrza biura Szlaków Hoffmana wtoczyła się niewielka maszyna objuczona dwiema wypchanymi walizkami z prawdziwej cielejącej skóry.

Zrezygnowana recepcjonistka wyciągnęła w stronę Matsona plik formularzy.

— Proszę to wypełnić, panie Trent, a ja w tym czasie upewnię się, czy technicy Telporu są gotowi na przyjęcie jeszcze jednej osoby. Zbliża się pora zamknięcia, więc lepiej sprawdzić.

Wypełniał formularze, a w środku czuł napływające fale lodowatego strachu. Dobry Boże, to był dopiero strach! Teraz, w ostatniej chwili, gdy Freya była już na Paszczy Wieloryba, jego autonomiczny system nerwowy zaczął w przyspieszonym tempie wytwarzać hormony niepohamowanej paniki; wszystko w jego jestestwie nagliło do odwrotu.

Nadludzkiem wysiłkiem udało mu się przebrnąć przez niezliczone druki. Udało się, ponieważ silniej niż autonomiczny system nerwowy oddziaływały płyty czołowe, narzucając świadomość, że skoro Freya znalazła się po drugiej stronie, to wszystko już zostało postanowione.

Prawdę mówiąc, to dlatego właśnie wysłał ją wcześniej; w końcu zbyt dobrze znał swój chwiejny charakter. Teleportacja dziewczyny miała mu pomóc w przełamaniu wszelkich oporów. A poza tym, pomyślał, musimy znaleźć sposób na przewyciężenie samych siebie. . . każdy z nas jest swoim największym wrogiem.

— Oto pańskie zastrzyki, panie Trent. . . — Pojawiła się pielęgniarka Szlaków z paroma strzykawkami na tacy. — Zechce się pan łaskawie rozebrać? — Wskazała mu mały, utrzymany w nieskazitelnej czystości pokój na zapleczu. Gdy weszli do izolatki, zaczęli ściągać ubranie.

Po chwili było już po wszystkim. Pokłute ręce bolały, a on nie mógł pozbyć się myśli, że to już koniec, że wraz ze szczepionką wstrzyknięto mu jakiś narkotyk

lub truciznę.

Teraz w obroty wzięło go dwóch starszych Niemców; obaj byli łysi jak kolano i nosili charakterystyczne gogle obsługi Telporu — zbyt długie wystawianie oczu na działanie pola powodowało nieodwracalne zmiany siatkówki.

— *Mein Herr* — odezwał się pierwszy z nich. — Muszę pana poprosić o zdjęcie całej odzieży. *Sie sollen ganz unbedeckt sein*. Nie chcemy, by cokolwiek mogło zakłócić *Starkheit* pola. Wszystkie przedmioty, w tym także pańskie bagaże, dotrą za panem w odstępie kilku minut.

Matson posłusznie rozebrał się do naga i przerażony podążył za technikami. Z wykładanego glazurą korytarza weszli nagle do olbrzymiej sali. Jej ogrom powiększał jeszcze brak jakiegokolwiek wyposażenia — dookoła widać było tylko gładkie ściany. Wnętrze to w niczym nie przypominało zagraconej pracowni doktora Frankensteina, pełnej retort i bulgocących kotłów. Jedyne z podłogi wystawały naprzeciw siebie dwa bieguny pola. Na pierwszy rzut oka przypominały betonowe ściany ograniczające porządny tenisowy kort, tyle tylko, że ich wewnętrzne powierzchnie pokrywały okrągłe, miseczkowato wklęsnięte twory z metalu. Pomyślał, że niczym prowadzony na rzeź wół stanie pomiędzy biegunami, w samym środku wytworzonego pola, które stopniowo zacznie go pochłaniać. I wtedy albo zginie — o ile został rozszyfrowany — albo, jeśli udało mu się zachować incognito, zniknie z Ziemi na resztę życia, a w każdym razie na przynajmniej trzydzieści sześć lat. W jego przypadku nie miało to i tak żadnego znaczenia.

Dobry Boże, pomyślał. Mam nadzieję, że Frei nic się nie stało. Nadana przez nią krótka, zakodowana depesza wskazywała, że wszystko powinno być w porządku.

— Panie Trent — odezwał się jeden z techników, zakładając gogle — *bitte*. Proszę patrzeć w podłogę. Dzięki temu pańskie oczy nie odczują skutków promieniowania pola. *Sie versteh'n* ryzyko uszkodzenia siatkówki.

— Okay — skinął głową i wbił wzrok w swoje stopy.

Przez chwilę panował spokój, a potem coś się zaczęło dziać. Niemal wstydlwym gestem wznosił rękę, jakby próbując zasłonić się przed narastającym błyskawicznie z obu stron oślepiającym blaskiem. Wywołujące oszołomienie, idealnie równe siły sprawiały, że zastygł w bezruchu. Czuł się jak owad zatopiony w bryle przezroczystego pleksi; każdy, kto by się mu przyglądał, byłby przekonany, że może się swobodnie poruszać, podczas gdy w rzeczywistości przepływająca od anody do katody energia unieruchomiła go na dobre. A jaką rolę w tym wszystkim odgrywał on sam? Czy jego organizm stawał się czymś w rodzaju pierścienia jonizującego? Całym ciałem odbierał obecność pola, miał wrażenie, że jego linie bezbolesnie tną go na mikroskopijne fragmenty.

A potem pole znikło. Wyrwany ze stanu dotychczasowej równowagi zachwiał się i ostrożnie rozejrzał.

Wraz z polem zniknęła dwójka łyśkich techników w okularach. Znajdował się

teraz w o wiele mniejszym pomieszczeniu. Za wciśniętym w kąć biurkiem siedział jakiś starszy człowiek i sumiennie spisywał coś z etykietek przymocowanych do walizek oraz owiniętych w szary papier paczek, które wysoką stertą piętrzyły się pod ścianą.

— Pańskie ubranie — powiedział pochylony nad rejestrem urzędnik — znajduje się w metalowym koszu z prawej oznaczonym numerem 121628. Jeśli jest panu słabo, może pan skorzystać z leżanki.

— Nic mi nie jest — szybko odparł Matson Glazer-Holliday.

Lekko się zataczając, podszedł do kosza, włożył ubranie i niepewnie przystanął.

— Są już dwie sztuki pańskiego bagażu — urzędnik także tym razem nie miał zamiaru odrywać się od pracy. — Numery 39485 i 39486. Proszę usunąć je z płyty podajnika. — Przypomniał sobie coś i szybko spojrzął na zegarek. — Nie, przepraszam. Nie musi się pan spieszyć. Dziś już nikt nie przybędzie ze stacji w Nowym Nowym Jorku.

— Dzięki. — Matson chwycił ciężkie walizki i skierował się w stronę dużych, podwójnych drzwi. — Czy idę w dobrym kierunku? — zapytał.

— Wydostanie się pan tędy na aleję Śmiejących się Wierzb.

— Szukam hotelu.

— Powiezie pana każdy napotkany pojazd. — Człowiek za biurkiem chwycił ponownie za pióro; widocznie nie miał już więcej informacji do przekazania.

Nie zwlekając dłużej, Matson popchnął drzwi.

Stał na chodniku i patrzył na ciągnące się w oddali rzędy szarych baraków.

Nie wiadomo skąd zjawiła się Freya. Powietrze było zimne; dziewczyna drżała, a on wtulony w jej włosy drżał także, nie mogąc oderwać oczu od baraków. Stały w równych szeregach, otoczone wysokim na dwanaście stóp ogrodzeniem z siatki. Ogrodzenie było pod napięciem, a od góry zabezpieczone dodatkowo czterema rzędami drutu kolczastego. I te znaki. Wszędzie pełno znaków ostrzegawczych; nie musiał nawet ich czytać.

Freya zapytała: — Mat, słyszałeś kiedyś o Sparcie?

— Sparta — powtórzył jak echo, stojąc z walizkami w dłoniach.

— Posłuchaj... — Ciągnąc za zaciśnięte palce, zmusiła go do postawienia walizek. Obok nich przemknęło paru szaro ubranych ludzi. Widać było, że bali się nawet spojrzeć w ich stronę.

— Pomyliłam się — powiedziała Freya. — Zbyt pochopnie wysłałam depeşe z oceną pozytywną. Mat, ja myślałam...

— Myślałaś — wpadł jej w słowo — że znajdziesz tu piece krematoryjne.

Odrzuciła w tył burzę ciemnych włosów i zadarła głowę, by spojrzeć mu prosto w twarz. — Mat — powiedziała cichym, łagodnym głosem — to jest obóz pracy. Rosyjski, a nie niemiecki model rzeczywistości. Praca przymusowa.

— Ale co oni robią? Zamiatają planetę? Przecież przekazy satelitów badawczych potwierdziły...

— Wygląda na to — powiedziała — że ich celem jest stworzenie armii. Najpierw każdy trafia do brygad pracy, aby przywyknąć do dyscypliny. Potem młodych mężczyzn kieruje się do szkolenia zasadniczego, a reszta... — no cóż, najprawdopodobniej będziemy pracować tam. — Wyciągnęła rękę i dopiero wtedy dostrzegł prowadzącą pod ziemię rampę oraz umieszczony obok mechanizm windy. Nieodpartym skojarzeniem przypominały mu się lata młodości. Pamiętał coś takiego przed wojny. Wiedział dobrze, co to znaczy.

Mieli przed sobą podziemną fabrykę. Praca ciągła, więc automaty nie poradzą sobie z utrzymaniem homeostazy. Tylko zmiany robocze obsadzone ludźmi gwarantowały niezakłócony ruch taśmy; przekonali się o tym w osiemdziesiątym drugim.

— Większość twoich policjantów — powiedziała Freya — jest zbyt stara na wcielenie. Dlatego tak jak my znajdzie się zapewne w barakach. Znam już numer, który ci przydzielili. Potem podam ci swój.

— Co? Oddzielne kwatery? To nie będziemy nawet razem?

— Mam też urzędowe formularze, w które wpiszemy nasze zawody i umiejętności. Dzięki temu staniemy się przydatni.

— Jestem stary — poskarżył się Mat.

— Więc będziesz musiał umrzeć, chyba że wymyślisz sobie jakiś pożyteczny zawód.

— Umiem tylko jedno. — W stojącej na chodniku walizce spoczywał przekaznik, niewielki, lecz wystarczająco silny, by wysłany przezeń sygnał po sześciu miesiącach dotarł do Ziemi.

Wyciągnął klucz i pochylił się nad walizką. Wszystko, co musiał zrobić, to otworzyć zamek, wyciągnąć z ukrycia calowy odcinek taśmy, zakodować go, a następnie wepchnąć w czytnik przekaznika. Cała reszta odbywała się już automatycznie. Włączył ukryte w butach źródło zasilania. Ze względu na konieczność umieszczenia w nich paru dodatkowych przedmiotów, buty miały grubą podeszwę i prezentowały się nadzwyczaj solidnie, tak jakby ich właściciel chciał z nich korzystać do końca życia.

Włączył miniaturową dziurkarkę, wetknął w nią skrawek taśmy.

— Po co im armia? — zapytał.

— Nie wiem, Mat. To wszystko sprawa Theodorica Ferry'ego. Według mnie, Ferry zamierza wysłać tę armię na zarządzaną przez Bertolda Ziemię. Od kiedy tu jestem, rozmawiałam z paroma osobami, lecz nie osiągnęłam zbyt wiele. Wszyscy są bardzo wystraszeni. Pewien mężczyzna sądzi, że odkryto niehumanoidalną rasę rozumną i że uczestniczy w przygotowaniach do ataku na skolonizowane przez nią planety. Może jeśli pobędziemy tu dłużej...

Matson rozprostował grzbiet i powiedział:

— Skończyłem. Nadam taki tekst: „Stan wojenny. Powiadomcie Bertolda”. Ze względu na odległość i zakłócenia sygnał będzie powtarzany wielokrotnie, aż w końcu dotrze do naszego pilota, Ala Doskera i wtedy...

Promień lasera rozłupał mu tył głowy.

Freya zamknęła oczy.

Następny strzał z laserowego karabinu snajperskiego i obie walizki zmieniły się w dymiące sterty śmieci. Zaraz potem pojawił się młody, wypucowany żołnierz. Podszedł spokojnym krokiem, beztrąsco wymachując snajperką. Obejrzał Freyę od stóp do głów z uznaniem, lecz niezbyt pożądliwie, a następnie przeniósł wzrok na leżące na chodniku zwłoki Matsona.

— Przechwyciliśmy waszą rozmowę. — Wskazał ręką rozciągniętą nad dachem Telporu siatkę cienkich drucików. — Ten człowiek — trącił czubkiem buta martwą rękę — mówił coś o „naszym pilocie”. Jesteście więc zorganizowani. Przyjaciele Zjednoczonych Ludzi, co?

Nie zdołała odpowiedzieć.

— No dobra, chodź, ślicznotko. Zabiorę cię na przesłuchanie do psychologa. Nie zrobiliśmy tego przedtem, bo byłaś na tyle sprytna i małomówna, że nie wspomniałaś o podążającym za tobą mężu. Ale jak widzisz nigdy...

Umarł, gdyż nacisnęła guzik zwalniający w zegarku mechanizm zatrutej cyjankiem strzałki cefalotropicznej; pocisk poruszał się powoli, lecz żołnierz nie mógł go uniknąć. Bardziej zaskoczony niż wystraszony, niezbyt świadomy tego, co się dzieje, dziecinny gestem zamachnął się na nadlatującą igłę, której ostrze nieubłagalnie wbiło się w żyły nadgarstka. Zginął szybko i dyskretnie, tak samo jak Matson. Gdy bezwładne ciało zaczęło osuwać się na chodnik, Freya odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Na rogu skręciła w prawo. Nie zatrzymywana przez nikogo pobiegła wąską, zaśmieconą aleją. Nie zwalniając ani na chwilę, sięgnęła do kieszeni płaszcza i wcisnęła sygnał alarmu. Teraz każdy pracownik KANT-u na Paszczy Wieloryba został oficjalnie ostrzeżony, choć zapewne do tej chwili wszyscy i tak zdążyli już się zorientować w sytuacji. Sam alarm niewiele mógł pomóc w uzupełnieniu przytłaczającej wiedzy zdobytej w ciągu pierwszych pięciu minut pobytu po tej stronie, gdzie Telpor stawał się bezużyteczny. Tak czy inaczej, zrobiła swoje. Ostrzegła pracowników, nadając sygnał na służbowym kanale, i to było wszystko, co mogła teraz uczynić.

Jedyny przekaznik dalekiego zasięgu znajdował się w walizkach Matsona. Bez niego nie można będzie przesłać makrofalowej depechy do Układu Słonecznego, co oznacza, że za pół roku Dosker nie otrzyma żadnej wiadomości. Pozostawała jeszcze broń. Dwa tysiące uzbrojonych ludzi stanowiło jakąś siłę. Ze strachem i zdumieniem uświadomiła sobie, że automatycznie przejęła dowodzenie nad pozostałymi przy życiu członkami organizacji; kilka miesięcy wcześniej Matson uznał ją za swego prawowitego następcę i nie trzymał tego faktu w tajemnicy:

informacja o wyborze została rozpowszechniona wśród pracowników zjednoczenia.

Co powie agentom, którzy dotarli na Paszczę Wieloryba — oczywiście powie im, że Matson nie żyje, lecz co dalej? Co w takiej sytuacji mogą zrobić?

Osiemnaście lat, pomyślała. Czy będziemy musieli czekać, aż zjawi się Rachmael ben Applebaum na „Omphalosie”. Jeśli tak, to wszystko traciło sens. W każdym razie dla nas i dla naszego pokolenia.

Podbiegło do niej dwóch mężczyzn o wykrzywionych strachem twarzach.

— Księżyc i krowa — piskliwie krzyknął starszy.

— Jack Horner. — Przystanęła, ciężko dysząc. — Nie wiem, co robić — wysapała. — Matson nie żyje, a jego przekaznik został rozbity. Czekali na niego; zaprowadziłam ich prosto do celu. Strasznie mi przykro. — Nie mogła spojrzeć w twarz swoim agentom. Błądziła wzrokiem gdzieś ponad ich głowami. — Nawet jeśli użyjemy broni — podjęła po chwili — to w końcu wybiją nas wszystkich.

— Ale możemy przynajmniej narobić im szkód — wtrącił jeden z policjantów. Był to starszy, mocno zbudowany mężczyzna, a wokół jego bioder zapasy tłuszczu uformowały coś na kształt koła ratunkowego. Sądząc z wieku, musiał być weteranem wojny z 1982 roku.

Jego towarzysz poklepał walizkę.

— Moglibyśmy spróbować, panno Holm. Proszę nadać właściwy sygnał. Ma go pani?

— Nie — skłamała i oni o tym dobrze wiedzieli. — To beznadziejne. Spróbujmy lepiej udawać autentycznych emigrantów. Pozwólmy zamknąć się w barakach.

— Panno Holm — zaoponował brzechacz, patrząc twardo — oni dowiedzą się o wszystkim, gdy tylko przejrzą nasze bagaże. — Zwracając się do swego kolegi, powiedział: — Wyciągaj sprzęt.

Patrzyła, jak dwójka superdoświadczonych agentów KANT-u sprawnie montuje niewielkie urządzenie o skomplikowanej konstrukcji. Takiej broni nie widziała nigdy przedtem, widocznie wyciągnęli to ze swego prywatnego muzeum.

Młodszy z policjantów powiedział do niej spokojnie:

— Proszę nadać sygnał. Do walki. Proszę nadawać go stale, tak aby nasi ludzie, gdy tylko się wynurzą, mogli go odebrać i przystąpić do akcji. Będziemy walczyć teraz, a nie później, gdy pójdziemy w rozsypkę, a oni wytluką nas po kolei, jednego za drugim.

Powoli wcisnęła właściwy guzik. Nagle przyszło jej coś do głowy.

— Spróbuję wysłać wiadomość na Ziemię przez Telpor — powiedziała. — Może w zamieszaniu — bo przecież zamieszanie będzie, i to spore, gdy ludzie KANT-u wylądują na Paszczy, a pierwszym sygnałem, jaki do nich dotrze, okaże się wezwanie do walki — może się jakoś prześlizgnie.

— Na pewno nie. — Stary zabijaka rozwiął jej nadzieje. Porozumiał się wzrokiem ze swym towarzyszem. — Ale gdyby tak skoncentrować się na stacji prze-

każnikowej, to może zdołalibyśmy ją zdobyć i utrzymać na tyle długo, by przesłać na Ziemię krótką wideodepeszę. Warto spróbować. Nawet gdyby dwa tysiące naszych musiało... — Popatrzył na Freyę. — Czy może pani polecić agentom, by skierowali się w tę stronę?

— Nie. Miałam tylko te dwa programy — odpowiedziała tym razem całkowicie zgodnie z prawdą.

— Okay, panno Holm. — Policjant podjął decyzję. — Wideotransmisje przez Telpor realizowane są tam — wskazał na ogrodzony, wielopiętrowy budynek bez okien ze strzeżonym wejściem. W szarym słońcu południa dostrzegła połyskującą broń wartowników. — Ma pani kod, jaki należy wysłać do domu?

— Tak. Jest ich ogólnie pięćdziesiąt. Razem z Matem nauczyłam się wszystkich na pamięć. Na obwodzie fonicznym można to nadać w dziesięć sekund.

— Chcę — powiedział zdecydowanie rozglądający się czujnie agent — żeby to był przekaz wideo. Musimy to pokazać — powiódł ręką dookoła. — Trzeba tak zrobić, aby znalazło się to na wizji. Na razie wiemy tylko my, ale oni też muszą się dowiedzieć. — Oni, czyli wszyscy ci niewinni ludzie stojący przed bramami Telporu, decydujący się na podróż bez powrotu, na zawsze rozstający się ze swym światem. Na zawsze, pomyślała Freya, bo osiemnaście lat to cała wieczność.

— Jak brzmi ten szyfr? — zapytał młodszy z mężczyzn.

— „Zapomniałam spakować moje chusteczki do nosa z irlandzkiego płótna. Prześlijcie mi je przez Telpor” — wyrecytowała Freya. — Mat i ja rozważaliśmy wszystkie logiczne możliwości. Ta wydaje się najbliższa stanu faktycznego. Sparta.

— Tak — przyznał starszy. — Państwo wojenne. Znana wszystkim podżegaczka. Leżąca w geograficznym sąsiedztwie Aten, choć zbyt daleko na bezpośrednie kontakty. — Jeszcze raz popatrzył na swego kolegę. — Jak myślisz, czy zdołamy dostać się do środka i nadać sygnał foniczny? — Schwycił zmontowaną przed chwilą broń.

— No pewnie — pokiwał głową tamten. Starszy policjant uruchomił broń.

Gdy Freya zobaczyła, co się dzieje, krzyknęła śmiertelnie przerażona i zaczęła uciekać. Chciała być jak najdalej od tego miejsca, gdyż znała już przeznaczenie dziwnego urządzenia: był to przenośny miotacz gazów paraliżujących system nerwowy. Pomyślała, że oto znowu ociera się o śmierć, i była to jej ostatnia spójna myśl. Potem został już tylko pęd i oglądane w przelocie sceny rozgrywające się za jej plecami.

Strzegący przekaźnika uzbrojeni wartownicy rzucają się do ucieczki.

Uodpornieni na działanie gazu przez wszczepione hormony modyfikujące agenci KANT-u biegną w stronę bramy, wyciągając po drodze krótkie pistolety laserowe z lunetami celowniczymi.

To był ostatni zapamiętany przez nią obraz. Panika i zmęczenie nasiliły się do tego stopnia, że później przed oczami miała już tylko ciemność i w tej ciemności

odczuwała jedynie obecność innych, biegnących wraz z nią ludzi; nie była sama: docierało do niej promieniowanie przyszłości.

Mat, pomyślała. Nie będziesz miał swojej agencji na Paszczy Wieloryba. A przecież ostrzegałam cię. Mówiłam ci. Ale może teraz przynajmniej oni też stracą panowanie. Jeśli zakodowana wiadomość dotrze na Ziemię. Jeśli dotrze.

A nawet gdy tak się stanie, czy po tamtej stronie, na Ziemi, znajdzie się ktoś na tyle sprytny, by wiedzieć, co z tym zrobić?

VIII

Zgodnie z ustaloną procedurą, oczekujący na orbicie Plutona Al Dosker otrzymał z Ziemi tekst depeszy, która z Paszczy Wieloryba nadeszła do nowonowojorskiego biura KANT-u.

ZAPOMNIAŁAM SPAKOWAĆ MOJE CHUSTECZKI DO NOSA Z IRLANDZKIEGO PŁÓTNA. PRZYŚLIJCIE MI JE PRZEZ TELPOR. FREYA.

Niespiesznie przeszedł na rufę statku. W takiej odległości od Słońca wszystko wydawało się spowolnione, tak jakby gwiazdny zegar wybijał tu inny rytm.

Otworzył skrzynkę kodów i przerzucił fiszki zaczynające się na Z. Odnalazł właściwy kartonik. Miał już klucz. Teraz pozostało mu tylko wprowadzić dane do komputera.

Po chwili drukarka wypluła krótki pasek papieru. Oderwał go niecierpliwie i przeczytał:

DYKTATURA WOJSKOWA. ŻYCIE W BARAKACH NA SPARTAŃSKICH ZASADACH. PRZYGOTOWANIA DO WOJNY PRZECIWIW NIEZNAJANEMU WROGOWI.

Dosker przez chwilę stał w bezruchu, a potem uruchomił program jeszcze raz. Odpowiedź nadeszła taka sama. Nie było więc mowy o pomyłce. Ostatecznie Matson Glazer-Holliday osobiście programował komputer.

Nareszcie coś, pomyślał. Jedna spośród pięćdziesięciu kombinacji opisujących wszelkie możliwe stany pośrednie od piekła aż po... Pola Elizejskie.

Ta, która nadeszła, miała numer dziesiąty i leżała wyraźnie po piekielnej stronie. Było mniej więcej tak źle, jak się tego spodziewał.

Teraz już wiemy, pomyślał.

Wiemy... i nie możemy z tego zrobić żadnego użytku.

Wbrew pozorom skrawek papieru z zakodowaną wiadomością był zupełnie bezużyteczny.

Komu bowiem, zastanawiał się w duchu, możemy go pokazać?

Ich własna organizacja, zjednoczenie KANT, została poważnie osłabiona akcją Mata, który zabrał ze sobą najlepszych ludzi. Na miejscu pozostał tylko personel urzędniczy w Nowym Nowym Jorku i on.

No i oczywiście Rachmael ben Applebaum, zagubiony razem z „Omphalosem” gdzieś w hiperprzestrzeni, zajęty zapewne tajnikami antycznej greki.

Z biura w Nowym Nowym Jorku nadeszła kolejna zakodowana depesza. Tym razem znacznie szybciej powędrowała do komputera, a gdy pojawił się wydruk, Al przeczytał go z przerażeniem, w poczuciu spóźnionego wstydu, że nie zdołał przeszkodzić planom Matsona. Czuł się odpowiedzialny za to, co zaszło.

NIE ZDOŁAMY SIĘ UTRZYMAĆ. WIWISEKCJA POSTĘPUJE.

Czy potrafię wam pomóc? — zastanawiał się, szalejąc w bezsilnej wściekłości. Niech cię diabli, Matson, że też musiałeś to zrobić; zawsze byłeś zachłanny. Zabrałeś dwa tysiące agentów i Freyę Holm tylko po to, żeby dać się wyróżnić, a my nie możemy nic na to poradzić, przede wszystkim dlatego, że nas właściwie nie ma.

A jednak było coś, co mógł zrobić. Co prawda nie było to bezpośrednio związane z ratowaniem setek Ziemiaków, którzy w ciągu najbliższych dni czy tygodni poprzez Telpor dotrą na Paszczę Wieloryba. Na razie chciał pomóc jednemu człowiekowi, który jak najbardziej zasługiwał na uwolnienie od dobrowolnie nałożonego ciężaru, tym bardziej, że ciężar ten, w świetle dwóch ostatnich dostarczonych przez Korporację Wideofon depesz, stawał się zupełnie zbyteczny.

Nie bacząc na ryzyko wykrycia przez ONZ-owskie służby nasłuchu, Al Dosker wysłał w stronę „Omphalosa” wiązkę fal radiowych w zakresie UKF.

Gdy poruszający się z nadszybkością statek nadał spoza granic Układu Słonecznego sygnał gotowości, Dosker zapytał brutalnie:

— Jak sobie radzisz z odami Pindara?

— Jak narazić uważam je za dziecinne bajeczki.- Głos Rachmaela napływał z oddali, zmieszany z występującymi w tle szumami zakłóceń. — Ale przecież miałeś się ze mną nie kontaktować, dopóki. . .

— To już się stało — powiedział Dosker. — Mamy szyfr, którego nie można złamać, z tej prostej przyczyny, że w transmitowanym tekście nie ma żadnych istotnych danych. Słuchaj uważnie, Rachmaelu. — Nadajnik statku wzmacniał jego słowa i wysyłał w przestrzeń, a równocześnie aparatura pomocnicza zapisywała wszystko, co mówił, i powtarzała kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu. Sądził, że oparta na statystyce zasada wielokrotnych powtórzeń będzie najlepszym sposobem pokonania dzielącej go od „Omphalosa” odległości i jak najwierniejszego przekazania informacji. — Znasz zapewne kawał o opowiadającym dowcipy więźniu. W pewnej chwili wstaje i krzyczy „trzy”. I wszyscy wybuchają śmiechem.

— Tak. — W głosie Rachmaela zabrzmiało zrozumienie. — Ponieważ „trzy” oznacza numer znanego wszystkim żartu; ostatecznie gdy jakaś grupa ludzi jest

skazana wyłącznie na swoje towarzystwo...

— Depesza, którą odebraliśmy dzisiaj z Paszczy Wieloryba, została ułożona na takiej samej zasadzie — wyjaśnił Dosker. Jako dekodera używamy komputera pracującego w systemie binarnym. Wszystko zaczęło się od tego, że każdej literze alfabetu przyporządkowaliśmy rezultaty rzutu monetą. Reszka oznaczała zero lub przejście zamknięte; orzeł — jedynekę lub przejście otwarte. W ten sposób przez cały czas mieliśmy do czynienia tylko z zerem i jedyneką; był to *modus operandi* naszego komputera. Później opracowaliśmy pięćdziesiąt tekstów odpowiadających warunkom, jakie mogliśmy zastać po drugiej stronie. Każda taka wiadomość stanowiła oczywiście w naszym systemie ciąg zer i jedynek. Otrzymałem depeszę, która rozłożona na elementy binarne ma postać: 111010011001110101100000100110101001110000100111110100000111. W sekwencji tej nie ma żadnej ukrytej treści, gdyż w istocie jest to jeden z pięćdziesięciu sygnałów, na jakie wcześniej zaprogramowaliśmy dekodery. Natomiast jego długość ma sugerować kryptografom obecność jakiegoś szyfru.

— No dobrze — zniecierpliwiał się Rachmael. — Ale jaki tekst kryje się za otrzymaną depeszą.

— Mówiąc krótko — powiedział Dosker — mamy tu do czynienia ze Spartą.

— Państwo wojenne? — Napłynął powoli głos ben Applebauma.

— Tak?

— Z kim chcą walczyć?

— Nie wiadomo. Odebraliśmy jeszcze jeden przekaz, lecz wynika z niego raczej niewiele. Nadany został kodem otwartym i mówi o tym, że ludzie Matsona nie zdołają się utrzymać, że są dziesiątkowani przez armię.

— I jesteś pewien autentyczności informacji? — zapytał Rachmael.

— Tylko Freya Holm, Matson i ja — wyjaśnił Dosker — mieliśmy dekodery, do których można wprowadzić przekształcone w zapis binarny sygnały. Pierwsza depesza została nadana przez Freyę, w każdym razie jest tam jej podpis. Co do drugiej — przerwał, jakby chciał opanować drżenie głosu — to nikt już nawet nie próbował się podpisać.

— No cóż, w takim razie wracam. W obecnej sytuacji moja wyprawa traci sens.

— To zależy tylko od ciebie. — Dosker zamarł w oczekiwaniu, zastanawiając się, jaką decyzję podejmie Rachmael ben Applebaum. W pewnym momencie zrozumiał, że tak czy inaczej, nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ scena, na której rozgrywa się tragedia, jest oddalona o dwadzieścia cztery lata świetlne, a stawkę stanowi życie nie dwóch tysięcy najlepszych pracowników KANT-u, lecz czterdziestu milionów ludzi przybyłych wcześniej. A także tych milionów, jakie wyruszą na Paszczę Wieloryba pomimo tego, że po tej stronie znamy już prawdę, lecz z powodu braku dostępu do środków masowego przekazu nie możemy przedstawić jej społeczeństwu.

Nie zdążył rozwinać tej myśli, gdyż z pustki wyłoniły się nagle trzy ONZ-owskie statki pościgowe i niczym czarne ryby, bezszelestnie podpłynęły bliżej. Gdy tylko zmniejszyła się odległość między pojazdami, odpaliły salwę pocisków, które uderzyły w statek KANT-u, roznosząc go na kawałki.

Ogłuszony Al unosił się bezwładnie w przestrzeni. Przeżył tylko dlatego, że miał na sobie skafander ratunkowy, którego zapasy powietrza, wody, żywności w tubkach oraz obwody ogrzewania, łączności i utylizacji odpadków, zapewniały minimum egzystencji na najbliższe parę dni. Sunął powoli przez czerń kosmosu, coraz bardziej pogrążając się w myślach o rzeczach przyjemnych. Przez głowę przemykały mu obrazy pokrytej zielonymi lasami planety, twarze poznanych kobiet, głosy przyjaciół. Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność, a jednak ani na chwilę nie opuściła go do końca świadomość sytuacji, w jakiej się znalazł. Gdzieś na granicy snu i jawy ciągle coś przypominało mu o zbliżającej się nieubłagalnie śmierci.

Oprzytomniawszy nieco, zaczął zastanawiać się, czy ONZ dopadła także „Omphalosa”; ich stacje nasłuchowe musiały przechwycić skierowaną do niego radiodepeszę, lecz to wcale jeszcze nie znaczyło, że udało im się również trafić na ślad odpowiedzi Rachmaela, którego nadajnik pracował w zupełnie innym paśmie... O Boże, pomyślał Dosker, mam nadzieję, że ben Applebaum nie wpadł w takie same tarapaty.

Jeszcze się nad tym zastanawiał, gdy ONZ-owski statek pościgowy ruszył w jego kierunku, a kiedy się z nim zrównał, wyrzucił w przestrzeń robota. Maszyna podpłynęła do Doskera, po czym, zawzięcie wymachując manipulatorami, pochwytiła go ostrożnie, tak aby nie uszkodzić powłoki skafandra. Zdumiony pilot pomyślał, że znacznie prościej byłoby wyrwać w materiale skafandra niewielką dziurę, wypuszczając na zewnątrz powietrze i ciepło. Zginąłby wtedy w jednej chwili i nikt nie musiałby się więcej przejmować dryfującymi przez pustkę zwłokami.

Jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej na widok otwierającego się luku. Robot wleciał do śluzy i gdy tylko płyta wróciła z hukiem na miejsce, uwolnił swą zdobycz. Nieco zdezorientowany Dosker zawisł w ciemnościach, próbując odgadnąć dalszy rozwój wydarzeń. Nagle zapłonęło światło, a wraz z nim włączyła się sztuczna grawitacja. Opadł ciężko na podłogę, twarzą w dół, przez dłuższy czas leżał bez ruchu, po czym zmusił się do wysiłku i chwiejnie stanął na nogi.

Nie wiadomo skąd pojawił się przed nim człowiek w mundurze starszego oficera ONZ.

— Zdejmij skafander — powiedział. — Twój skafander ratunkowy. Rozumiesz? — W jego mowie pobrzmiwał wyraźnie obcy akcent; naramienniki wojskowego świadczyły o przynależności do Ligi Nordyckiej.

Dosker dostosował się do polecenia i kawałek po kawałku zaczął ściągać swój ochronny strój.

— Wy, Goci — rzucił przez zęby — trzymacie wszystko w garści. Przynajmniej jeśli chodzi o ONZ. — Kusiło go, by zapytać, czy na Paszczy Wieloryba sprawy mają się podobnie, lecz połyskujący w ręku oficera pistolet laserowy nie zachęcał do rozmowy.

— Siadaj — padło następne polecenie. — Wracamy na Ziemię. *Nach Terra; verstep 'n?*

Przeszli do sterówki. Na tle ukazującego rozgwieżdżone niebo ekranu dostrzegł zarys pleców ONZ-owskiego pilota. Rzut oka na przyrządy upewnił go, że najszybszym z możliwych kursów kierowali się ku trzeciej planecie. W takim tempie powinni być na Ziemi najpóźniej za godzinę.

— Sekretarz Generalny — ponownie odezwał się oficer — pragnie porozmawiać z tobą osobiście. Tymczasem odpręż się i odpocznij. Chcesz coś poczytać? Mamy tutaj najnowszy numer „Przyjaciela Ludzkości”. A może wolisz obejrzeć jakiś program rozrywkowy?

— Nie — odpowiedział Dosker i zapatrzył się ponuro w przeciwną ścianę.

Jakby czytając w jego myślach, wojskowy powiedział: — Namierzyliśmy sygnał radiowy „Omphalosa”.

— Dobra robota — sarkastycznie rzucił Dosker.

— Jednak ze względu na dużą odległość, minie kilka dni, nim nasze statki znajdą się w jego pobliżu.

— Ale tak czy inaczej, dopadniecie go.

— Z całą pewnością — przytaknął oficer. Widać było, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Dosker nie miał ich zresztą również. Wszystko było tylko kwestią czasu, paru najbliższych dni.

Na powrót popadł w odrętwienie, a pościgowy statek ONZ unosił go z ogromną prędkością ku Ziemi, Nowemu Nowemu Jorkowi i Horstowi Bertoldowi.

W nowonowojorskiej siedzibie ONZ został poddany gruntownym badaniom; lekarze i pielęgniarki przysuwali coraz to nowe aparaty, śledzili ich odczyty, za każdym razem stwierdzając brak jakiegokolwiek ukrytej wewnątrz organizmu broni.

— Niedawny wypadek zniósł pan nadzwyczaj dobrze — poinformował go szef zespołu, gdy Al wreszcie odzyskał ubranie i zaczął je wciągać na siebie.

— A co teraz? — zapytał.

— Sekretarz Generalny oczekuje pana — szybko rzucił lekarz, zapisując coś w karcie badań; ruchem głowy wskazał na umieszczone w przeciwnym końcu sali drzwi.

Skończywszy się ubierać, Dosker niespiesznie ruszył ku drzwiom, uchylił je ostrożnie i zajrzał do środka.

— Proszę się pospieszyć — powiedział Horst Bertold.

— Dlaczego? — zapytał, zamykając za sobą drzwi obite grubą wykładziną.

Sekretarz Generalny siedział za wielkim, staroświeckim dębowym biurkiem. Był to przysadzisty mężczyzna o rudych włosach, wąskim długim nosie i małych, niemal bezbarwnych ustach. Rysy twarzy miał raczej drobne, lecz szerokie barki, mocne ramiona i wypukła klatka piersiowa znamionowały kogoś, komu nieobca jest pływalnia i piłka ręczna. Jego stopy oraz muskularne łydki świadczyły o odbywanych w dzieciństwie długich pieszych wycieczkach; wiele mil musiał też przebyć na rowerze. Jednym słowem, miał przed sobą człowieka otwartych przestrzeni przykutego do biurka przez ciężące na nim obowiązki, lecz nieustannie tęskniącego do szerokich pól młodości, które od dawna już nie istniały. Okaz fizycznie zdrowego człowieka, pomyślał Dosker. Czuł wbrew swej woli, że siedzący za biurkiem mężczyzna budzi w nim sympatię.

— Przechwyciliśmy pańską rozmowę radiową z „Omphalosem”. — Angielski Bertolda był doskonały; słuchając go, miało się wrażenie uczestnictwa w odtwarzanym z taśm kursie języka. Zresztą zapewne w ten właśnie sposób Sekretarz Generalny doskonalił swą wymowę. Gdy odezwał się ponownie, wrażenie było znacznie gorsze. — I w ten sposób, jak panu wiadomo, zlokalizowaliśmy oba statki. Wiemy również, że w chwili obecnej odgrywa pan czołową rolę w zjednoczeniu KANT, gdyż panna Holm i Glazer-Holliday pod przybranymi nazwiskami udali się poprzez Telpor na Paszczę Wieloryba.

Dosker bez słowa wzruszył ramionami, zdecydowany nie udzielać dobrowolnie żadnych informacji, i czekał na rozwój wypadków.

— Mam tu — Horst Bertold marszcząc czoło, postukał piórem w teczkę wieńczącą stos dokumentów — dosłowny zapis łączności pomiędzy panem a tym fanatykiem, Rachmaelem ben Applebaumem. To pan nadał sygnał wywoławczy, pan zdradził pozycję „Omphalosa”. — Bładoniebieskie oczy Bertolda patrzyły ostro. — Przekazaliśmy naszym kryptografom wysłaną przez pana zakodowaną sekwencję... tę samą, którą nieco wcześniej otrzymał pan z Korporacji Wideofon. Nie było w niej żadnej ukrytej treści. Lecz we wraku pańskiego statku odnaleźliśmy urządzenie deszyfrujące, nietknięty komputer z kompletną zawartością pięćdziesięciu taśm. Dopiero wówczas udało nam się dopasować zarejestrowany przekaz z jedną z zapisanych w systemie binarnym taśm. To, co otrzymaliśmy, pokrywa się z informacją, jaką wysłał pan do ben Applebauma.

— Dziwi to pana?

— Oczywiście, że nie — szybko rzucił Bertold. — Dlaczegoż miałby pan wprowadzać w błąd swojego klienta? Zwłaszcza wobec ryzyka — ryzyka, którego jak widać nie należało podejmować — ujawnienia pozycji własnego statku. A jednak — głos Bertolda przeszedł w szept — chcieliśmy się jeszcze upewnić. Dlatego też uruchomiliśmy nasz system obserwacyjny.

— Wybiją ich tam do nogi — powiedział Dosker matowym głosem. — Dwa tysiące agentów, Mata i Freye... — Mógł to powiedzieć, ponieważ wiedział, że

w każdej chwili zdołają poznać prawdę dzięki praniu mózgu — jeśli tylko zechcą, wyciągną z niego wszystkie wspomnienia, myśli czy plany; przecież nawet jego organizacja, znacznie mniejsza niż ONZ, posługiwała się tą techniką od lat, wykorzystując zdobycze nauki i wiedzę zatrudnianych psychiatrów.

— Szlaki Hoffmana i Theodorice Ferry — podjął Bertold — mają pełną władzę nad kolonią. ONZ nie posiada swoich wojsk na Paszczy Wieloryba. Cała nasza wiedza płynie z otrzymywanych poprzez Telpor grzecznościowych przekazów dźwiękowych i wizyjnych. Przez wszystkie te lata docierały do nas jedynie ich oficjalne informatory; nasze satelity obserwacyjne zostały unieruchomione z chwilą utworzenia rządu pod auspicjami Szlaków Hoffmana.

Zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili rozległ się niedowierzający głos Doskera.

— Czyli jest to dla pana taka sama nowość jak dla. . .

— Przez piętnaście lat wierzyliśmy w przysyłane nam materiały. Nie widzieliśmy powodów, dla których należałoby je sprawdzić. Szlaki Hoffmana same wystąpiły z projektem ekonomicznego wspierania procesu kolonizacji. Dokonały stosownych opłat, a my wystawiliśmy im koncesję, ponieważ to oni opatentowali Telpor i wyposażenie pomocnicze. Wszystkie patenty doktora von Einema stanowią wyłączną własność Szlaków; staruszek miał pełne prawo postąpić w ten sposób. I to. . . — Bertold podniósł leżący na wierzchu dokument i podał go Doskerowi — był to wystukany na maszynie wierny zapis jego rozmowy z Rachmaelem. — To jest rezultat.

— Proszę mi powiedzieć, co to wszystko znaczy. — Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Dosker poczuł się zagubiony. Odebrał co prawda depesze w ich oryginalnym brzmieniu, rozumiał ich dosłowne znaczenie, ale nic poza tym.

Sekretarz Generalny ONZ wyjaśnił:

— Spośród czterdziestu milionów kolonistów Ferry chce powołać armię i wyposażyć ją w nowoczesne, wyrafinowane środki walki. Nie ma żadnej „niehumanoidalnej rasy rozumnej”, pozaziemskiej kultury, której trzeba stawiać czoło. Gdyby była, nasze bezzałogowe posterunki obserwacyjne już dawno natrafiłyby na jej ślad; przecież sprawdziliśmy wszystkie systemy gwiazdne w naszej Galaktyce. — Popatrzył na Doskera. — To my, ONZ, jesteśmy celem Ferry’ego. Kiedy tylko odpowiednia liczba kolonistów zjawi się po drugiej stronie, wtedy pracujące dotychczas jednokierunkowo urządzenia teleportujące zaczną działać w kierunku przeciwnym, udowadniając tym samym, że tak zwane pierwsze twierdzenie było fałszywe.

— A więc to tak? — zdumiał się Dosker. — Powrócą przez te same placówki Telporu?

— I rzucą się na nas — przytaknął Bertold. — Ale jeszcze nie teraz. Nie są jeszcze wystarczająco silni. Tak się nam przynajmniej wydaje — dodał jakby do siebie. — Przeanalizowaliśmy skład osobowy przykładowych grup emigrantów.

W chwili obecnej nie są w stanie powołać pod broń więcej jak milion mężczyzn. Natomiast co do broni — mogą mieć nawet s.w.s.: super wyrafinowane środki. Nie zapominajmy, że pracuje dla nich von Einem.

— Gdzie jest von Einem? — zapytał Dosker. — Na Paszczy Wieloryba?

— Wzięliśmy go natychmiast pod obserwację — palce Bertolda zacisnęły się na trzymanej w dłoni teczce — i to wystarczyło, by udowodnić — *ganz genug!* — że to my mieliśmy rację, że przez wszystkie te lata von Einem kursował regularnie między Ziemią i Paszczą Wieloryba. Od samego początku, tak jak oni wszyscy, wykorzystywał Telpor do podróży w obu kierunkach — to jest udowodnione, Dosker. Udowodnione! — Wymownie popatrzył na niewielkiego Murzyna.

IX

Kiedy Rachmael ben Applebaum dostrzegł majaczące wokół „Omphalosa” sylwetki ONZ-owskich statków pościgowych, pojął, że w całej tej niejasnej historii przynajmniej jedno nie ulega wątpliwości: ONZ odkryła jego pozycję i z całą pewnością przechwyciła też statek Doskera. Dlatego też, nie zastanawiając się dłużej, włączył mikrofalowy nadajnik, po czym wezwał dowódcę grupy pościgowej.

— Uwierzę wam — powiedział Rachmael — jeśli Dosker powtórzy mi to samo. — I kiedy mu się przyjrzę, dodał w duchu, czy przypadkiem nie przeszedł prania mózgu. Z drugiej strony jednak kłamstwo nie dawało im żadnych korzyści. Mieli przecież jego i „Omphalosa”. Raz odkryty, statek dostał się w asystę uzbrojonych pojazdów międzygwiazdnych najpotężniejszej organizacji kosmicznej, jaką bez wątpienia była ONZ. Po cóż bawić się w podchody, gdy nie istniała żadna siła zdolna stawić jej najmniejszy choćby opór?

Boże na wysokościach, pomyślał. Jeśli to prawda, to możemy polegać na Horście Bertoldzie. Pozwoliliśmy, aby nasze uprzedzenia nas zaślepiły. . . von Einem jest Niemcem i Horst Bertold jest Niemcem. Ale to wcale nie oznacza, że razem pracują, że są współnikami w jakimś niecnym przedsięwzięciu. Równie dobrze można o to podejrzewać dowolnych dwóch Ubangijczyków czy Żydów. Adolf Hitler nie był nawet Niemcem. . . tak więc zgubiło nas nasze własne rozumowanie. Może teraz damy się przekonać. Zobaczymy. Nowe Zjednoczone Niemcy stworzyły doktora Seppa von Einema i Szlaki Hoffmana. . . ale może zdolne są do czegoś więcej, jeśli stworzyły równocześnie Horsta Bertolda.

Zobaczymy, powtórzył w duchu Rachmael.

Zaczekamy do chwili, gdy znajdziemy się w Nowym Nowym Jorku, w biurze ONZ, gdzie Horst Bertold przedstawi nam dowody na potwierdzenie nadanej przez radio wiadomości.

A wiadomość była krótka. Informowano w niej, że o szóstej rano czasu nowojorskiego oddziały ONZ obsadziły wszystkie placówki Szlaków Hoffmana i zabezpieczyły aparaturę Telporu, przerywając tym samym jak najbardziej arbitralnie i bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, emigrację na Paszczę Wieloryba.

Dwanaście godzin później wyglądająca na zmartwioną, przepracowana sekretarka wprowadziła Rachmaela do gabinetu Sekretarza Generalnego.

— A oto nasz fanatyk — powiedział Horst Bertold, przyglądając się mu badawczo. — Idealista, który w Matsonie Glazer-Hollidayu rozpalił żądzę popychającą go do przeprowadzenia zamachu stanu na Paszczę Wieloryba. . . — Gestem ręki powstrzymał wychodzącą sekretarkę. — Proszę przysłać tu jeden Telpor z obsługą.

Po chwili urządzenie z głośnym piskiem wjechało do biura przywódcy ONZ. Wraz z nim pojawił się technik w stroju roboczym. Bez gogli wydawał się mały i przestraszony.

Horst Bertold natychmiast przystąpił do indagacji.

— Czy za pomocą tej maszyny możliwa jest teleportacja w obie strony? A może tylko w jedną? *Zwei oder ein? Antworte!*

— Tylko w jedną, *Mein Herr Sekretar General* — drżącym głosem odpowiedział technik. — Jak to ukazuje pierwsze twierdzenie, recesja materii w kierunku. . .

Zwracając się do sekretarki, Bertold powiedział:

— Niech przyjdą tu nasi specjaliści od prania mózgu. Powie im pani, żeby zabrali ze sobą aparaty EEG.

Słyszając to, pracownik Telporu wykrzyknął przerażonym głosem:

— *Dasz brauchen Sie nicht.*

— On mówi — Horst Bertold wystąpił w roli tłumacza — że będzie z nami współpracować i że nasi psychiatrzy nie będą tu potrzebni. Pytajcie więc. — Potrząsnął gwałtownie głową, wskazując drżącego technika — niepozornego człowieka w białym fartuchu, który uczestniczył w wyekspediowaniu tysięcy, jeśli nie milionów niewinnych istot ludzkich. — Zapytajcie go, czy Telpor działa w obu kierunkach.

Niemal niedosłyszalnie technik odpowiedział: — *Beide.* W obie strony.

— I nigdy nie istniało pierwsze twierdzenie — raczej stwierdził, niż zapytał Bertold.

— *Sie haben Recht* — przytaknął technik, kiwając głową.

— Proszę wprowadzić Doskera — polecił Bertold swej przepracowanej sekretarce.

Po chwili w drzwiach pojawił się Dosker i niezwłocznie podszedł do Rachmaela.

— Freya jeszcze żyje — powiedział, wskazując aparaturę Telporu. — Kontaktowaliśmy się z nią za pomocą tego. Jednak co do... — urwał, a na jego twarzy odmalowało się wahanie.

— Matson Glazer-Holliday nie żyje — rozległ się głos Horsta Bertolda. — Zamordowali go na samym początku. Ale ponad połowa pracowników zjednoczenia KANT utrzymywała się przy życiu rozproszona po różnych obiektach kolonii. Rozpoczynamy właśnie akcję strategicznej pomocy dla walczących. Chcemy im wysłać najbardziej przydatne rodzaje broni. Poza tym zamierzamy w taktycznych punktach przeprowadzić desanty oddziałów komandosów. Sądzę, że nasi komandosi mogą tam sporo zdziałać.

— A co ja mogę zrobić? — zapytał Rachmael. Czuł przytłaczającą go bezsilność. Wszystko rozgrywa i rozgrywało się bez jego udziału. Tak wiele wydarzyło się podczas jego bezcelowej podróży przez całkowicie pustą hiperprzestrzeń.

Sekretarz Generalny ONZ zdawał się czytać z jego twarzy.

— Obudził pan czujność Matsona — powiedział — a to z kolei popchnęło go do podjęcia próby nieudanego zamachu. Natomiast depesza Frei Holm do Doskera, przesłana następnie na „Omphalosa” ukazała nam skrywane dotąd pod maską obłudy prawdziwe oblicze Theodorica Ferry’ego. Czujemy się moralnie odpowiedzialni za to, że akceptowaliśmy tę pozorną rzeczywistość przez piętnaście lat, biorąc za dobrą monetę wszystkie te bzdury o jednokierunkowej teleportacji... — Skrzywił się z niesmakiem. — Tym niemniej Szlaki Hoffmana popełniły błąd równie wielki jak ich kłamstwa, pozwalając dwóm tysiącom policjantów KANT-u przedostać się na drugą stronę. Oczywiście jest ich za mało, ale z naszym taktycznym wsparciem...

— Było ich za mało od samego początku — wtrącił Dosker — od chwili, gdy załatwili Matsona. — Ni to do siebie, ni do Rachmaela powiedział: — Nie mieliśmy żadnych szans. Prawdopodobnie Matson nawet się o tym nie dowiedział; nie żył wystarczająco długo. W każdym bądź razie może uda się uratować Freyę. Czy chcesz tego?

— Tak — bez wahania odparł Rachmael, po czym zwracając się do Horsta Bertolda, zapytał: — Czy możecie dać mi wyposażenie? Przynajmniej ekrany obronne, jeśli nie macie broni zaczepnej. Wyruszę sam.

Istniała szansa, że w ogólnym zamieszaniu przemknie się nie zauważony. Paszcza Wieloryba przekształciła się w pole bitwy, na którym ścierało się zbyt wielu przeciwników. W takich warunkach pojedynczy człowiek stawał się nic nie znaczącą siłą, nieledwie pyłkiem. Ukradkiem przemknie się na drugą stronę i rozpocznie poszukiwania. Tylko nie zwracając na siebie uwagi otoczenia, mógł liczyć na powodzenie; ot, zwykły szarak niegodny uwagi walczących kolosów. A walka była naprawdę bezpardonowa. Przetrzebione oddziały KANT-u przesta-

ły się liczyć jako realna siła i teraz na placu boju pozostały praktycznie już tylko dwa bloki. Z jednej strony Szlaki Hoffmana, a z drugiej ONZ, starsza od rywalka o pięćdziesiąt lat, opromieniona sławą zwycięstw odnoszonych nieustannie od ubiegłego wieku.

Tyle tylko, że Szlaki Hoffmana miały na swej służbie geniusza wynalazków, podeszłego wiekiem, lecz wciąż błyskotliwego doktora Seppa von Einema. Rodziła się obawa, że dziarski staruszek nie poprzestał na skonstruowaniu Telporu.

Ciekawe, czy Horst Bertold o tym pomyślał. Jeśli bowiem von Einem wpadł na jakiś godny uwagi pomysł, to w najbliższym czasie z pewnością się o tym dowiedzą i tym bardziej odczują na własnej skórze.

Dziś na ulicach kolonii nie było miejsca na sentymenty. Jeśli Szlaki Hoffmana posiadały nową broń, to z pewnością korzystały z niej teraz w pełnym zakresie. Dla wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z kolonią, nadszedł bowiem *dies irae* — dzień gniewu, wystawiając ich na ciężką próbę. Boże miej w opiece pokonanych, pomyślał Rachmael, gdyż czeka ich śmierć. Nikt na tej arenie nie daruje im łaskawie życia.

Znał już swoje zadanie, widział ten jedyny cel, ku któremu powinien dążyć. Musi wydostać Freyę Holm z Paszczy Wieloryba i wrócić z nią bezpiecznie na Ziemię.

Osiemnastoletnia podróż, odyseja na pokładzie „Omphalosa”, nauka antycznej greki pozwalająca na czytanie w oryginale *Bachantek* — dziecinne mrzonki rozpadły się w pył pod żelaznym uściskiem rzeczywistości. Oto zaczęła się walka i to już nie odległa o dwadzieścia cztery lata świetlne, lecz dostępna w każdej chwili poprzez którąś z sześciu tysięcy stacji Telporu.

— „*Sein Herz voll Hasz geladen*” — Horst Bertold zwrócił się do Rachmaela. — Czy mówi pan w jidisz? Zrozumiał pan?

— Jidisz znam słabo — odparł ben Applebaum — ale ten cytat powiedział pan po niemiecku: „Jego serce jest pełne nienawiści”. Skąd to?

— To słowa z czasów wojny domowej w Hiszpanii — wyjaśnił Bertold. — Z pieśni Brygady Międzynarodowej. W jej skład wchodził przeważnie Niemcy, którzy opuścili Trzecią Rzeszę w latach trzydziestych, aby walczyć przeciwko Franco w Hiszpanii. To chyba byli komuniści. Najważniejsze, że jako jedni z pierwszych walczyli z faszyzmem, a przecież byli Niemcami. Jak więc pan widzi, zawsze można znaleźć „dobrych” Niemców... Tamten człowiek, Hans Beimler, nienawidził nazizmu i faszyzmu we wszystkich formach i przejawach. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Walczyliśmy też z nazistami, my „dobrzy” Niemcy; *verges' uns nie* — nigdy o nas nie zapominajcie. — Głos Bertolda stał się cichy, przepełniony smutkiem. — Nieprawdą bowiem jest, że przyłączyliśmy się do walki później, w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Nasza walka trwała od samego początku. Pierwszymi ludźmi, którzy zabijali i byli zabijani przez nazistów, byli właśnie Niemcy.

— I Ziemia — Bertold popatrzył w oczy Rachmaela — powinna o tym pamiętać. Tak jak powinna pamiętać, kto w chwili obecnej korzysta z usług von Einema i podobnych mu kreatur. Mam na myśli Theodorica Ferry’ego... Amerykanina, jak panu wiadomo. — Uśmiechnął się nieznacznie. — No, ale są też i „dobrzy” Amerykanie. I faktu tego nie zmieni bomba atomowa zrzucona na japońskie kobiety, dzieci i starców.

Zapanowało milczenie. Rachmael nie próbował nawet polemizować z takim punktem widzenia.

— No dobrze. — Sekretarz Generalny zmienił temat. — Skontaktuję pana z naszym ekspertem do spraw uzbrojenia. Pomoże panu dobrać rodzaj broni. Życzę powodzenia. Mam nadzieję, że sprowadzi pan do nas pannę Holm całą i zdrową. — Uśmiechnął się przelotnie i natychmiast zaczął przeglądać leżące na biurku papiery.

Rachmael poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Zaskoczony spojrzął za siebie i dostrzegł niższego rangą oficera ONZ.

— Mam zająć się pańskim problemem — wyjaśnił wojskowy. — Proponuję od razu przystąpić do rzeczy. Proszę mi powiedzieć, panie ben Applebaum, jakimi współczesnymi — przy czym nie chodzi mi tutaj o ostatnie miesiące czy nawet lata — rodzajami broni operuje pan najlepiej, jeśli oczywiście ma pan w tej dziedzinie jakiegokolwiek doświadczenie. A także czy w niedalekiej przeszłości przechodził pan neurologiczne lub bakteriologiczne... .

— Nie przechodziłem żadnego przeszkolenia wojskowego — przerwał mu Rachmael — ani też antyneuro- czy bakteriologicznej modyfikacji.

— Pomimo to nadal możemy panu pomóc — oficer najwyraźniej nie chciał dać za wygraną. — Dysponujemy sprzętem, który nie wymaga wcześniejszej praktyki. Z tym jednak... . — Postawił jakiś znaczek na trzymanym w ręku kwestionariuszu. — No cóż, różnica jest znaczna; osiemdziesiąt procent broni zaczepnej jest dla pana bezużyteczne — uśmiechnął się zachęcająco. — Nie powinniśmy się jednak tym zrażać, panie ben Applebaum.

— Nie zrażam się — odpowiedział Rachmael ponuro. — Więc jednak w końcu przeteleportuję się na Paszczę Wieloryba.

— Tak. I to, jak sądzę, w ciągu godziny.

— Człowiek, który się nie chciał przeteleportować — mruknął Rachmael — zostanie przeteleportowany. Zamiast nie kończącej się osiemnastoletniej podróży na pokładzie „Omphalosa”. Cóż za ironia.

— Czy czuje się pan na siłach — zapytał wojskowy — używać nerwogazów, czy też wolałby pan... .

— Wszystko, co pomoże mi uratować Freyę. Wszystko, oprócz broni zawierającej związek fosforu lub zageszczone produkty naftowe. Nie wezmę też do ręki środków niszczących szpik kostny — dajmy sobie z tym spokój. Ale co pan myśli o ołowianych kulach, tych staroświeckich pociskach wyrzucanych lufą przez siłę

gazów? Dajcie mi coś takiego albo pistolet laserowy. — Nieoczekiwanie zaczął zastanawiać się, jakie bogactwo narzędzi służących zabijaniu musiał zabrać ze sobą Matson Glazer-Holliday, największy fachowiec w tej branży.

— Chcę zaproponować panu coś nowego — powiedział ONZ-owski ekspert, zerkając w swoje notatki. — Według opinii specjalistów z Departamentu Obrony, jest to bardzo obiecujący wynalazek. Chodzi mi o urządzenie wpływające na przebieg linii czasu. Aparat ten wytwarza pole, które spowalnia. . .

— Dajcie mi broń — powiedział Rachmael. — I przerzućcie mnie na drugą stronę. Do niej. Nie chcę nic więcej.

— Już się robi — obiecał oficer i szybkim krokiem poprowadził Rachmaela w stronę drzwi szybkiej windy, którą udali się do ONZ-owskich magazynów uzbrojenia.

Przed jednym z punktów emigracyjnych Szlaków Hoffmana zatrzymał się skrzydłowiec, z którego wysiedli poprzedzani dwójką dzieci Jack i Ruth McElhatten. Automatyczny tragarz posuwał się za nimi objuczony siedmioma wypchany-
mi, mocno podniszczonymi walizkami, których większa część została pożyczona od sąsiadów. Po chwili cała rodzina znalazła się wewnątrz niewielkiego, nowoczesnego budynku, który miał być ich ostatnim przystankiem na Ziemi.

Podchodząc do okienka, Jack McElhatten rozejrzał się w poszukiwaniu pełniącego dyżur urzędnika. Jezu, pomyślał, kiedy wreszcie człowiek decyduje się zrobić Wielki Krok, oni akurat urządzają sobie przerwę śniadaniową.

Z zaplecza wyszedł elegancko ubrany żołnierz ONZ w pełnym ekwipunku. Z umieszczonego na ramieniu emblematu wynikało, że należy do ONZ-owskich Sił Powietrznych Szybkiego Reagowania.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał.

— Do diabła, przyszliśmy tutaj, żeby wyemigrować — odparł Jack McElhatten. — Mam odpowiednią ilość posredków. — Wyciągnął z kieszeni portfel. — Chcę wypełnić formularze. I zastrzyki. Wiem, że musimy dostać jakieś zastrzyki i. . .

Żołnierz zapytał uprzejmie:

— Proszę pana, czy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie oglądał pan programów informacyjnych?

— Byliśmy zajęci pakowaniem — odezwała się Ruth McElhatten. — Dlaczego? Czy coś się stało?

I wtedy, poprzez uchylone drzwi w głębi pomieszczenia, Jack McElhatten zobaczył Telpor. Serce zabiło mu gwałtownie, miotane na przemian to strachem, to radością. Tak, to było naprawdę wielkie, wspaniałe posunięcie. Prawdziwa migracja. Patrząc na umieszczone naprzeciw siebie bliźniacze płyty biegunów urządzenia, czuł się jak pionier. Oczywiście wyobraźni widział zapamiętane z telewizji

widoki trawiastych równin, ciągnące się po horyzont płaszczyzny bujnej zieleni.

— Proszę to przeczytać — powiedział żołnierz, wskazując przyklejony do szyby biały kwadrat pokryty czarnymi literami. Ogłoszenie wyglądało tak zniechęcająco, że nawet nie czytając go, Jack Elhatten poczuł, jak opuszcza go zapach, a od lat pielęgnowana wizja nowego świata umyka w siną dal.

— O mój Boże — powiedziała Ruth, skończywszy czytać. — ONZ pozamykała wszystkie placówki Telporu. Zawieszono emigrację. — Przerazona popatrzyła na męża. — Jack, tam jest napisane, że emigracja jest teraz nielegalna.

— W późniejszym czasie — dodał żołnierz — gdy sytuacja zostanie wyjaśniona, ruch migracyjny będzie przywrócony. — Ruszył w stronę wejścia, by powstrzymać następną parę, która wraz z czwórką dzieci weszła do biura Szlaków Hoffmana.

Poprzez ciągle uchylone drzwi na zapleczu, ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu McElhatten zauważył czterech ludzi w strojach roboczych. Pracowali szybko i sprawnie, w pocie czoła tnąc palnikami aparaturę Telporu.

Dopiero ten widok zmusił go do zapoznania się z treścią ogłoszenia.

Kończył właśnie czytać, gdy pilnujący biura ONZ-owski żołnierz poklepał go przyjaźnie po ramieniu, wskazując pobliski telewizor. Musiał go włączyć przed chwilą, gdyż teraz stała tam nowo przybyła para i wraz z dziećmi wpatrywała się w ekran.

— Widzi pan? Tak wygląda kolonia. — Jego angielski nie był najlepszy, lecz w głosie słychać było pasję. Chciał wszystko wyjaśnić, chciał, by McElhatten zrozumiał „dlaczego”.

Jack przyłączył się do oglądających. Na ekranie widać było rzędy szarych, przypominających baraki budowli o wąskich, brudnych oknach. A oprócz tego wysokie ogrodzenia. Przypatrywał się temu, nie pojmując, choć gdzieś w głębi duszy zaczynała rodzić się iskierka zrozumienia. Nie musiał nawet słuchać zapisanego na ścieżce dźwiękowej głosu ONZ-owskiego komentatora.

Ruth wyszeptała:

— Mój Boże. Przecież to jest obóz koncentracyjny.

Na ekranie wykwitł nagle obłok dymu, a gdy zniknął, okazało się, że górne piętra szarego betonowego budynku przestały istnieć. Pojawiły się przygarbione sylwetki biegnących ludzi, do uszu widzów dobiegł terkot szybkostrzelnej broni maszynowej, zagłuszający chwilami głos sprawozdawcy. Jakikolwiek komentarz był tu zresztą zupełnie zbyteczny. Sam obraz oddziaływał z wystarczającą mocą.

— Więc tak miałyby wyglądać nasze życie na Paszczy Wieloryba? — Ruth z wyrzutem popatrzyła na męża.

— Zbierajcie się. Wracamy do domu. — Ruchem ręki ponaglił automatycznego tragarza.

— Ale — zaprotestowała Ruth — czy ONZ nie mogłaby nam pomóc? Maja przecież tyle różnych agencji opieki społecznej.

Jack McElhatten powiedział: — ONZ właśnie teraz nas ochrania. I to nie dzięki swoim agencjom. . . — Wskazał na krzątających się wokół Telporu robotników w poplamionych kombinezonach.

— Dlaczego tak późno?

— Jeszcze nie jest za późno. — Dał robotowi sygnał do wyjścia. Znaleźli się na chodniku, jak zwykle gwarnym i nadmiernie zatłoczonym. Przeciskając się przez gęsty tłum, Jack ruszył na poszukiwanie wolnego skrzydłowca, który z powrotem przeniósłby go wraz z rodziną do domu, do ciasnego, znienawidzonego modułu mieszkaniowego.

Podszedł do niego człowiek rozdający ulotki, wyciągnął rękę z zadrukowanym arkuszem. McElhatten wziął go i szybko przebiegł wzrokiem. Ulotka była dziełem Przyjaciół Zjednoczonych Ludzi. W oczy rzucał się wielki nagłówek:

ONZ ODSŁANIA TYRANIĘ W KOLONII

Nie mogąc się powstrzymać, powiedział głośno:

— Więc jednak mieli rację. Wariaci. Lunatycy, jak ten facet, co to wyruszał w osiemnastoletni rejs na międzygwiazdny statek. — Złożył starannie kartkę i wepchnął ją do kieszeni. Dokończy czytać później, teraz czuł się zbyt oszołomiony. — Mam nadzieję — powiedział do siebie — że szef przyjmie mnie z powrotem.

— Oni tam walczą — dobiegł go głos Ruth. — W telewizji widać było żołnierzy ONZ i innych, ubranych w takie śmieszne mundury. W całym życiu nie widziałam. . .

— Jak myślisz — Jack McElhatten zwrócił się do żony — czy dasz radę posiedzieć z dziećmi w taksówce, podczas gdy ja wyskoczę do baru na jednego głębszego?

— Tak — odpowiedziała spokojnie. Z góry zaczął właśnie opadać ku nim zwabiony sygnałem skrzydłowiec. Zatrzymał się przy krawężniku na wprost sterty bagażu.

— Bo widzisz — rozwijał poprzednią myśl — muszę się natychmiast napić burbona z wodą. Podwójnego. — A potem, dodał w duchu, pójdę do najbliższego punktu werbunkowego ONZ i zgłoszę się na ochotnika.

Nie wiedział jeszcze, po co, ale oni z pewnością mu wytłumaczą.

Potrzebowali jego pomocy; czuł to przez skórę. Najpierw trzeba wygrać wojnę, a później, pewnie dopiero za parę lat, lecz z pewnością szybciej niż za osiemnaście, będzie można wyemigrować. Teraz jednak czekała go walka, ponowne zdobycie Paszczy Wieloryba.

Ale na początek — podwójny burbon.

Gdy tylko walizki zniknęły w luku bagażowym, wsiadł z rodziną do skrzydłowca i podał nazwę baru, który często odwiedzał po pracy. Taksówka pospiesznie wzbijała się w górę, szukając sobie miejsca wśród sunących we wszystkie strony nie kończących się sznurów pojazdów.

Kiedy skrzydłowiec oderwał się od Ziemi, Jack McElhatten zagłębił się w marzeniach o wysokich, kołysanych wiatrem trawach, i otwartych równinach zamieszkałych przez niezwykle stworzenia, które nie znały lęku, gdyż nikt nigdy ich nie skrzywdził. Poczucie rzeczywistości nie opuściło go jednak zupełnie; toczyło się równoległe z marzeniem. W pewnym momencie ogarnął oba te strumienie, a wtedy objął żonę ramieniem i przytulił ją w milczeniu.

Taksówka mistrzowsko manewrując w tłoku, kierowała się w stronę baru we wschodniej części miasta. Ona też знаła drogę, której powinna się trzymać. Ona też miała swój cel.